

Cathleen Galitz
Zawsze będę przy tobie

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Była o wiele ładniejsza, niż Johnny Lonebear przypuszczał. W każdym razie nie miała rogów i ogona, a tak sobie właśnie przedstawiał straszną Annie Wainwright. Siostrzenica opowiadała mu, co prawda, o swojej nowej nauczycielce, ale on uparcie widział diabolicę z widłami zamiast zwykłej wskazówki. Miał ponure wspomnienia ze szkoły: ilekroć rozrabiał w klasie, a rozrabiał często, dostawał wskazówką po knykciach. Nic dziwnego, że widział piekielne widły. Uroczą panną Wainwright w niczym jednak nie przypominała starej szkapy, panny Applebee. W każdym razie zewnątrz.

Johnny, w przeciwieństwie do swojej siostrzenicy, która nie miała żadnych problemów z akceptacją obcych, pozostawał odporny na uśmiechy nowej nauczycielki, jej oczywisty talent pedagogiczny też nie robił na nim wrażenia. Jego siostra i matka Porannej Zorzy uważała, że wszyscy obcy mają diabła za skórą. A już najgorsi, jej zdaniem, byli ci, którzy „chcieli dobrze”. Johnny miał bardziej umiarkowane zapatrywania, ale niewiele bardziej. Nieufność wyniósł z pola walki, gdzie wróg aż na zbyt często kulami usiłował dowieść wyższości swojej

kultury, religii, wreszcie barwy skóry. Doświadczenie zdobyte w czasie służby w marines nauczyło go, że ideowi zapaleńcy są gorsi od najlepiej wyszkolonych najemników. Obawiał się, że zapalona nauczycielka może być znacznie bardziej niebezpieczna niż walczący dla idei żołnierze. Jeśli panna Wainwright miałaby się okazać pomyloną ekstremistką, jak ją przedstawiała Ester, będzie miał w niej pierwszorzędnego wroga, a miał już wielu podobnych przed nią. W każdym razie z opisu Ester wynikało, że na pewno się nie zaprzyjaźnią. Siostra najpierw zrugła go niemiłosiernie, że przyjął dziewczynę, a potem kazała mu iść na lekcję i przyjrzeć się dokładnie „diablicy”.

- Nie ja zatrudniam nauczycieli, siostrzyczko - próbował się bronić. - Ja tylko dbam o to, żeby szkoła funkcjonowała.

Patrząc na jedyną jasnowłosą głowę otoczoną gromadą ciemnowłosych głów, Johnny musiał przyznać, że nowa nauczycielka nie wygląda tego ranka jakoś szczególnie diabolicznie. Prawdę powiedziawszy, z niejakim wysiłkiem oderwał wzrok od jej połyskujących słonecznymi refleksami włosów, nie po to przecież tu przyszedł, żeby obserwować malarskie gry światła.

Jakby wyczuwszy myśl nieskoordynowaną i błędzącą, dama będąca powodem jego wizyty podniosła głowę znad krwistoczerwonego szkła, które właśnie cięła.

- Przyłączy się pan do nas?

Głos pozbawiony otwartej wrogości. Johnny był nawet

zaskoczony łagodnością tonu i brakiem akcentu ze Środkowego Zachodu. Bardzo kobiecy, działający na zmysły, trafiający do trzewi głoś. Na wypowiedziane takim głosem zaproszenie człowiek może odpowiedzieć tylko w jeden sposób: jak mężczyzna, w którym budzi się zainteresowanie. Głos brzmiał miło, łagodnie, ale w oczach pojawił się błysk wyzwania.

Dwa błękitne lasery skierowane prosto na Johnny'ego. Pozbawione wszelkiej subtelności. Był pewien, że przecięłyby męskie serce równie łatwo, jak łatwo diament, który trzymała w dłoni, ciął szkło. Poczował się, jakby wrócił do podstawówki, i tak też się zachował; zmierzył ją bezczelnym spojrzeniem od stóp do głów i jeszcze raz, z góry na dół. Był złośliwym smarkaczem, ciągle z tego powodu lądował u dyrektora na dywaniku. W kącikach ust pojawił się uśmieszek mający oznaczać, że widok był całkiem przyjemny.

- Nie, dzięki. - Oparł się o framugę drzwi, przybrał nonszalancką pozę. - Stąd widzę bardzo dobrze.

- Jak pan chce - powiedziała, zsuwając na oczy okulary ochronne, i przystąpiła do prezentacji.

Gdyby nie wypieki na twarzy, Johnny gotów byłby uwierzyć, że jego obecność nie zrobiła najmniejszego wrażenia na młodej damie. Był pełen podziwu dla sposobu, w jaki wybrnęła z pojedynku na spojrzenia: po prostu wróciła do zajęć, jakby nie było go w ogóle w klasie. Zrecznie przecięła szkło wzdłuż nieregularnej, ornamentalnej linii, dzieciaki wydały głośny i zgodny jęk zachwytu:

- Aaaa!!!

Johnny dobrze sobie zapamiętał, co kładła mu do głowy siostra: ma nie dopuścić do tego, żeby nowa nauczycielka popsowała jej stosunki z córką.

- Aaaa!!! - zawtórował na tyle głośno, by cała klasa usłyszała.

Zorza rzuciła mu paskudne spojrzenie.

- Wujku... - mruknęła ostrzegawczo.

Nauczycielka spojrzała w kierunku impertynenta, ale jakoś mimo niego, i zsunęła okulary ochronne na czubek głowy.

- To nic wielkiego, ale miło, że się wam podobało - powiedziała do klasy. - Jutro będziemy szlifować ostre krawędzie, to o wiele ciekawsze.

Uśmiech nie sięgał oczu, te iskrzyły teraz niczym spawarka łukowa. Gdyby Johnny miał teraz się z nią zmierzyć, sam musiałby założyć okulary ochronne. Był ciekaw, czy niewinna z pozoru uwaga o „szlifowaniu ostrych krawędzi” była osobistą wycieczką pod jego adresem. Uśmiechnął się lekko. Wszystkie kobiety, z którymi coś go łączyło, szybko odkrywały, że jego nie da się oszlifować, zbyt był kanciasty.

- To wszystko na dzisiaj. Schowajcie materiały z powrotem do szafy - zakomenderowała panna Wainwright i zdjęła okulary tkwiące na głowie.

Johnny pomyślał, że chętnie rozpuściłby jej związane ciasno na karku włosy. O wiele lepiej by wyglądała, gdyby swobodnie okalały twarz, z łatwością mógł to sobie

wyobrazić. Pewnie wyglądałaby poważniej, na jakieś dwadzieścia siedem, może nawet dwadzieścia osiem lat. Kiedy położyła dłoń na plecach i próbowała rozprostować zeszywniałe mięśnie, coś dziwnego zaczęło się dziać w okolicy lędźwi: niebezpieczna reakcja. Poczłł się jak podglądacz, ale nie mógł oderwać oczu od „diablicy”.

- Może przedstawiš mnie swojemu wujkowi - odezwała się do Zorzy.

Zorza wydała coś pomiędzy prychnięciem a dmuchnięciem w opadającą na oczy grzywkę, jakby chciała powiedzieć: „Ale żenada”. Johnny nie pierwszy i nie ostatni raz doprowadzał ją do rozpacz. Była harda, rezolutna i najbardziej z całej rodziny podobna do niego. Niechętnie, ale zastosowała się do prośby nauczycielki, ciągnąc ją za sobą przez całą pracownię wychowania plastycznego do drzwi, gdzie w niedbałej pozie tkwił Johnny.

Oparł się o framugę i robił wrażenie faceta, któremu nigdzie się nie spieszy, który nie ma nic do roboty, ma natomiast aż nadto wolnego czasu. Ręce cały czas trzymał zaplecione na piersi i nie bardzo było wiadomo, czy je raczej rozpleść, żeby wyciągnąć dłoń, jak by przy dokonywaniu wzajemnej prezentacji wypadało.

- To mój wujek Johnny...

- John - poprawił siostrzenicę. - John Lonebear.

Lonebear, Samotny Niedźwiedź. Powinieneś się nazywać Lonewolf, Samotny Wilk, pomyślała Annie. Metr osiemdziesiąt pięć, szerokie bary, twarde rysy, mocna syl-

wetka, jak wyciosana z kamienia, ciemna, miedziana karnacja. Dziwne, ale ten człowiek swoją obecnością wypełniał bez reszty przestrzonną pracownię, dominował przestrzeń wokół siebie. Pomimo dżinsów i kowbojskiej koszuli pozostawał tym, kim się urodził. Miał króciutko, na wojskową modłę obcięte włosy. Zastanawiała się, jak by wyglądał z długim warkoczem, takim, jakie zawsze musieli nosić rdzenni Amerykanie w hollywoodzkich filmach. Byłby zmorem aktorów grających pierwszoplanowe role, przyćmiewałaby ich w każdej scenie, w której przyszłoby mu się pojawić. Drapieżny błysk w czarnych jak najczarniejsza noc oczach kazał się Annie zastanowić, czy warto podać mu rękę.

Miała niemiłe przeczucie, że odgryzie jej ofiarowaną dłoń.

- Miło mi pana poznać - oznajmiła. Wstrzymała oddech i dzielnie wyciągnęła dłoń.

Bardzo długo rozplatał splecione na piersi ręce, wreszcie ujął dłoń Annie, a ją jakby prąd poraził - dziwna fala przeniknęła ciało. Prąd, nie prąd, w każdym razie reakcja była pierwotna, niemal zwierzęca. Wiedzę na temat rdzennych Amerykanów posiadała dość fragmentaryczną, mówiąc najłagodniej, przemknęło jej tylko przez głowę, czy nie ma przypadkiem do czynienia z szamanem czy uzdrowicielem.

John Lonebear musiał być obdarzony magiczną mocą, widziała w nim pół człowieka, pół wilka, niezwykłą istotę dominującą nad innymi. Trochę wódz, trochę przewodnik

stada. Taki ktoś będzie bronił swojego terytorium, tego, co uważa za swoje terytorium, wszelkimi sposobami.

Annie cofnęła dłoń, uśmiech znikł z jej twarzy. Drżała jeszcze, miała gęsią skórę, ale Lonebear chyba nie zauważył, jak zareagowała na jego dotyk.

- Co mogę dla pana zrobić? - zapytała.

Co możesz zrobić? Zniknąć z życia mojej siostrzenicy, wynieść się z mojej szkoły i uciekać stąd pędzona wiatrem. Nie powiedział jej tego, ale korciło go, żeby to zrobić. Zabierz ze sobą swoje wielkomiejskie koncepty, zabierz perfumy, których używasz, i zabieraj się z rezerwatu, zanim połknie cię zły wilk, a połknie cię niechybnie, bo jesteś zbyt smakowitym kąskiem. A skoro już pytasz, co możesz dla mnie zrobić, to powiem ci: pocałuj mnie, jak nie całowałaś jeszcze nigdy nikogo.

Skąd mu taka myśl przyszła do głowy? Nie miał pojęcia. Wiedział tylko, że dreszcz, który wstrząsnął jej ciałem, jakimś cudem udzielił się i jemu. Poczul mrowienie w palcach, jakby dotknął wilgotną dłońią otwartego kontaktu. Miał ochotę wyskoczyć ze skóry, idiotyczne uczucie, w każdym razie miał wrażenie, że coś pcha go ku groźnemu przeznaczeniu. Starzy, mądrzy ludzie powiedzieliby, że to znak nakazujący czujność.

Zapowiedź nieszczęścia, której nie wolno ignorować.

Raczej ostrzeżenie z góry, pomyślał Johnny kwaśno. Omen. Ta kobieta miała głowę napakowaną stereotypami, kliszami, które uczyniły z niego takiego a nie innego człowieka. Powitalny uśmiech zamienił się w ironiczny

grymas. Oderwał się wreszcie od framugi i nachylił ku nowej nauczycielce.

- Co może pani zrobić dla mnie, panno Wainwright? Niech pani uczy, jak się robi witraże, i nie wtyka swojego ładnego noska w sprawy uczniów.

Miała tak zdumioną, oszołomioną minę, jakby wymierzył jej policzek.

- Proszę mówić mi Annie. - Uznała, że jeśli ma dojść przyczyn irytacji Lonebeara, lepiej zmienić ton rozmowy na odrobinę bardziej poufały.

- My tutaj wolimy formę oficjalną. Nie zwykliśmy mówić nauczycielom na ty, szanujemy godność ich zawodu - oznajmił lodowato.

Jeśli tej kobiecie zdaje się, że może go ugłaskać łagodnym, przymilnym głosem, to gorzko się myli. To, że jej imię brzmi miło i sympatycznie, nie znaczy, że on ulegnie zadziwiającemu czarowi panny Wainwright.

Zorza uznała, że najwyższa pora wkroczyć do rozmowy.

- Przestań jej dokuczać, wujku - zbeształa Johnny'ego i posłała mu spojrzenie, które nie pozostawiało najmniejszych wątpliwości, że później się z nim rozprawi. Potem zwróciła się do swojej nowej mentorki: - Proszę nie zwracać na niego uwagi, panno Wainwright - próbowała rozładować gęstą atmosferę. - Założę się, że to mama go tu przysłała.

Annie ta informacja nie podniosła szczególnie na duchu.

- Właśnie, mama - przypomniał sobie Johnny. -
Czeka na ciebie na parkingu - mówiąc to, nie przestawał
wpatrywać się w nauczycielkę.

Annie wyczuła, że mała nie chce jej zostawić sam na
sam z wrogiem.

- Idź już. Poradzę sobie - próbowała uspokoić Zorzę.
- Do zobaczenia jutro na lekcjach.

Dziewczyna wyszła z wysoko uniesioną głową, wy-
prostowana, sztywna: nieomylny znak, że gotuje się na
burzliwą konfrontację z matką. Maszerowała korytarzem
niczym uosobienie sprawiedliwego gniewu, wokół niej
zbierały się ciężkie chmury, niby wokół małej boginki
wojny: jeszcze chwila, a przystąpi do walki w obronie
swojej nauczycielki. Annie, weteranka zaprawiona
w wielu podobnych bojach, wiedziała aż za dobrze, że
wszelka próba interwencji byłaby tylko stratą czasu.

Bo kto potrafi powstrzymać nastolatkę z poczuciem
misji? To tak jakby człowiek chciał powstrzymać tornado
za pomocą poradnika dobrych manier. Dobre maniery
i dobre intencje muszą przegrać ze zbuntowanym młó-
dym umysłem.

- O co tu chodzi? - zwróciła się do wpatzonego
w nią wielkoluda. - Naprawdę nie wiem, dlaczego jest
pan zirytowany, a w myślach nigdy nie umiałam czytać.

Johnny zajęty był definiowaniem, na własny użytek,
wyrazu oczu panny Wainwright. W pierwszej chwili wy-
dawało mu się, że są zimne, ale nie, mylił się: była w nich
raczej czujność niż chłód. Czujność i skryta gdzieś w głę-

bi niepewność czy też kruchość, która nie wiedzieć czemu wytrącała go z równowagi.

Patrzył, jak dzielnie staje przeciwko niemu, i raptem obudził się w nim instynkt opiekuńczy: chciał ją chronić. Nie wiedział wprawdzie przed czym, ale chciał chronić...

Prawdopodobnie przed samym sobą.

- Powiedział Custer do swoich żołnierzy - Johnny wysilił się na błyskotliwą ripostę. Kiedy czuł się niepew-
T«t, •cSki sę zawsze do tej samej broni, zasłaniał się dowcipem.

- Skoro już jesteśmy przy odniesieniach historycznych: jeśli zamierza mnie pan oskalpować, proszę wyświadczyć mi tę łaskę i powiedzieć za co. - Annie uśmiechnęła się sztywno.

A Johnny przygryzł wargę, żeby nie odpowiedzieć uśmiechem. Młoda dama miała to, co nazywa się ikrą. Musiał jej to oddać. Folgując ciekawości, grał dalej. Zarzykował: wyciągnął dłoń i dotknął jej włosów. Były jedwabiste, miękkie, delikatne, ani blond, ani ciemne, miały kolor miodu przechodzący gdzieś w cynamonowy.

- Bardzo ładne - stwierdził takim tonem, jakby oceniał jakiś ornament.

Annie zjeżyła się. „Ładne włosy”, „ładny nosk”... Dwa razy już użył tego słowa, ale trudno było je uznać za komplement. W ustach Lonebeara brzmiało tak, jakby

* generał George A. Custer (1839-1876), legendarna postać, jeden z dowódców Unii w wojnie secesyjnej, potem walczył z Indianami.

chciał powiedzieć: „nie wtykaj swojego głupiego nosa w sprawę uczniów” albo: „co za idiotyczny kolor włosów”. Nigdy nie uważała siebie za piękność i teraz czuła się nieswojo, pewna, że facet z niej kpi. Szarpnęła się do tyłu i dłoń Lonebeara przejechała po jej policzku. Znowu to samo wrażenie, jakby poraził ją prąd. Odruchowo dotknęła mrowiącego miejsca.

Johnny zmrużył oczy. W każdym hollywoodzkim filmie, w każdym scenariuszu, biała kobieta musi bać się dzikich „czerwonoskórych”. Jeszcze jedna klisza, stereotyp, na który był szczególnie uczulony.

- Nie chciałem pani przestraszyć. - Miał nadzieję, że ona nie zemdleje, jak subtelne damy ze srebrnego ekranu. Nie pomyślał, żeby zaopatrzyć się w sole trzeźwiące, które w filmach podsuwa się dla ocucenia przedstawicielkom płci pięknej, kiedy zdarza się im atak hysterii.

- Nie przestraszył mnie pan - odpowiedziała Annie, patrząc mu prosto w oczy.

Nie do końca kłamała. Lonebear był potężny, to prawda, ale nie bała się go w sensie fizycznym, chociaż przyprawiał ją o dziwne reakcje fizyczne: mrowienie, gęsia skórka, ucisk w żołądku... Nie, chodziło o coś innego. Przez tak długi czas żyła w kompletnym odrętwieniu, że teraz przerażało ją to, że w ogóle odczuwa cokolwiek.

- Zechce mi pan powiedzieć, co takiego zrobiłam, że doprowadziłam pana do irytacji? - Dość już miała jego gierek. Chciała wreszcie usłyszeć, dlaczego przyszedł, o co właściwie ma pretensje.

Nie była przygotowana na to, że usłyszy zdania wypowiedziane śpiewnie, wręcz liryczne. Rytm, specyficzna kadencja, musiały być właściwe dla kultury, w której wzrastał. Dla jego kultury. Brzmiało to obco. Egzotycznie.

I erotycznie.

- Zorza chce wyjechać z rezerwatu, żeby studiować sztukę w college'u w St. Louis. Jej matka uważa, że to pani ją do tego namawia i mąci dziewczynie w głowie.

Błękitne oczy Annie spochmurniały.

- Nie zdołałabym do niczego jej namówić, gdyby sama tego nie chciała. Chyba zdaje sobie pan sprawę, że pana siostrzenica ma wielki talent. I pan, i siostra powinniście dbać, żeby mogła go rozwijać.

Johnny potarł brodę. Czuł jeszcze subtelny zapach tuberozy i piżma, zapach włosów Annie. Przenikający do podświadomości, intrygujący jak sama Annie. Była silna, w to nie wątpił. Potrafiła zadbać o siebie, iść własną drogą, a jednak było w niej coś kruchego, jakaś podatność na zranienie, która sprawiała, że Johnny miał ochotę wystawić na próbę, podważyć manifestowaną przez nią niezależność.

- Zapytała mnie o zdanie. Powiedziałam jej, że według mnie ma wszelkie dane, żeby zmierzyć się ze światem, jeśli tego właśnie chce. Nie rozumiem, dlaczego miałoby to być wtrącanie się w jej sprawy.

- Droga pani, już sam fakt, że pani, outsiderka, zdecydowała się pracować w rezerwacie, jest dla wielu tu-

tej szych ludzi mocno podejrzany, a motywy, które panią do tego skłoniły, też nie są zbyt jasne.

Annie stropiła się, skonsternowana zmarszczyła czoło.

- Przyjechałam tutaj uczyć. Wykładałam przedmiot nadobowiązkowy, w zajęciach biorą udział tylko ci, którzy chcą, których to interesuje - próbowała się bronić.

- Jest pani pewna, że nie chce ratować ginącego narodu Indian? - Jakby nie dość, że lekceważące, słowa Johnny'ego ociekały sarkazmem.

Zaskoczona Annie zawołała:

- Na Boga, nie! - Omał nie dodała: nie wiem, czy zdołam uratować samą siebie.

Co takiego w niej było, co kazało ludziom widzieć w niej siostrę miłosierdzia wyruszającą samopas na zbawienie świata, gotową obwiniać się za to, że zadanie przeraża jej siły? Annie potarła oczy, na próżno usiłując odegnać ból głowy, który na dobre zagnieździwszy się w czaszce, powoli przechodził w chroniczny. Z całą pewnością nie była żeńską wersją Supermana.

- Najwyraźniej nie rozumie pani, jak bardzo potrzebujemy utalentowanych młodych ludzi, takich jak moja siostrzenica. Właśnie oni powinni zostać w rezerwacie, żeby przewodzić innym. - Johnny mówił powoli, dobitnie, jakby miał do czynienia z osobą niedorozwiniętą. - Nie potrzebujemy natomiast obcych, którzy bałamuca nasze dzieci koncepcjami asymilacyjnymi. Asymilacja to śmierć naszej kultury. Spędziłem wiele lat w świecie bia-

łych, z własnego wyboru wróciłem do rezerwatu, żeby bronić nas przed takimi jak pani.

Annie podniosła ręce w geście kapitulacji.

- Wezmę to pod rozwagę - oznajmiła chłodnym, oficjalnym tonem, który miał oznaczać, że uważa dyskusję za zamkniętą.

- Mam nadzieję - warknął Johnny, zły na siebie, że na nią napadł.

- Zanim pan wyjdzie, coś wyjaśnię - podjęła Annie łagodnym tonem, choć to, co miała do powiedzenia, nie mogło zabrzmieć łagodnie, jakimkolwiek tonem by przemawiała. - Jeśli myśli pan, że może kontrolować dorastającą dziewczynę, instruując mnie, co mogę jej mówić, a czego nie powinnam, to mocno się pan myli. Marzenia młodych, panie Lonebear, należą wyłącznie do nich. Ja osobiście nie zamierzam niszczyć czyichkolwiek marzeń, choćby komuś trzeciemu wydawały się głupie. Nie miesza się w niczyje sprawy, już z pewnością nie w pańskie, ale chcę panu uświadomić, że jestem pedagogiem i jako pedagog mam obowiązek pomagać dzieciakom realizować ich marzenia. Jeśli naprawdę zależy panu na dobru siostrzenicy, a przypuszczam, że zależy, niech pan jej pozwoli wybrać własną drogę. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że po studiach wróci do domu znacznie bogatsza w wiedzę i doświadczenia. Pan też wrócił, prawda?

Johnny długo patrzył na wojowniczą młodą damę, nie odpowiadał. Osadziła go w miejscu gładko, spokojnie,

bez podnoszenia głosu. Trudno mu było przyznać, że został pokonany. Szkoła Łowców Snów, taką nazwę, zaczerpniętą z rodzimego folkloru, nadał szkole, a teraz wysłuchiwał oskarżeń pod swoim adresem, był w oczach Annie tym, który niszczy aspiracje dzieciaków. A przecież nic innego nie robił w życiu, tylko pomagał innym realizować marzenia. Obrażała go. Obrażliwe było jej przekonanie, że młodzi tylko poza rezerwatem mogą się naprawdę spełnić i odnieść sukces.

- Radzę pani bardziej uważać w przyszłości, panno Wainwright, jak zwraca się pani do swoich zwierzchników - odezwał się w końcu twardym, stanowczym tonem. Zaakcentował „panno Wainwright”, mimo zachęty nie zamierzał jej mówić na ty. - Co prawda, nie ja panią zatrudniłem, ale mogę panią w każdej chwili zwolnić, jeśli uznam za stosowne.

To rzekłszy, odwrócił się na pięcie i wyszedł, nie pozwalając nawet, jak bardzo jego już skomplikowane życie splecie się z życiem Annie Wainwright.

ROZDZIAŁ DRUGI

Przenosząc się do rezerwatu, Annie zrezygnowała ze znacznie lepiej płatnej pracy w St. Louis. W każdej chwili mogła tam wrócić. W tym momencie miała ogromną ochotę spakować swoje rzeczy i wyświadczyć niejakiemu Johnowi Lonebearowi ogromną łaskę: wyjechać natychmiast, zniknąć bez śladu.

Na pewno nie pieniądze zatrzymywały ją w szkole Łowców Snów. To, co tu zarabiała, z ledwością starczało na jedzenie i opłacenie rachunku telefonicznego. Na szczęście mieszkanie nic nie kosztowało, pod nieobecność Jewell opiekowała się jej domem. Co prawda, przyjaciółka twierdziła, że Annie wyświadcza jej wielką przysługę, ale w rzeczywistości było zupełnie odwrotnie: to Annie miała dług wdzięczności wobec Jewell.

Nie, stałe - i mizerne - dochody na pewno nie były przyczyną uporu Annie. Należąc do osób twardo stąpających po ziemi, dobrze zorganizowanych, odłożyła niemal wszystko, co zarobiła przez ostatni rok, i dopiero wtedy podjęła decyzję, co chciałaby zrobić ze swoim życiem.

A w tej chwili chciała przede wszystkim skończyć wiatrą, nad którym właśnie pracowała i który zamierzała

zadedykować szkole Łowców Snów. Dopóki witraż nie będzie gotowy, nigdzie się nie ruszy. Annie Wainwright lubiła kończyć, co zaczęła. Nie mogła też zapomnieć błagalnego spojrzenia Zorzy, kiedy dziewczyna nieśmiało zwróciła się do niej o radę i pomoc. Wreszcie, choć nie na końcu, zamierzała zostać na złość Lonebearowi. Nie mogła pozwolić, żeby jej dyktował, co ma robić. Decyzje podejmowała zawsze sama i tym razem też nie zamierzała ulec.

Mimo że Lonebearowi wydawało się, że jest nie wiadomo jak ważny.

Mimo że był bardzo, naprawdę bardzo seksowny.

Kiedy ludzie przychodzili do niej po fachową poradę, często powtarzała w różnych sytuacjach, że zmiana adresu nie jest w stanie złagodzić bólu, który człowiek w sobie nosi. Wiedziała aż za dobrze, że przed problemami nie ma ucieczki.

A jednak jadąc wyboistą drogą do domu przyjaciółki, miała wrażenie, że znalazła idealne miejsce, w sam raz nadające się dla osób ze złamanym sercem i poranioną duszą. Drewniana chata Jewell stała u podnóża Wind River Mountains, nad rzeką noszącą tę samą nazwę co górujące nad okolicą pasmo górskie. Ani w części tak sławne jak siostrzane góry Tetons, Winds na swój sposób były równie wspaniałe, tym wspanialsze dla kogoś, kto szukał ucieczki od zgiełku wielkiego miasta, że właściwie nieodkryte przez turystów.

Annie patrzyła, jak słońce powoli zniża się ku grani-

towym szczytom, jak wśród nich osiada niczym klejnot znajdujący właściwą oprawę, i ztracała się bez reszty w tym widoku, przedwiecznym i niezmiennym. Tylko obłok kurzu, który zostawiał za sobą jej samochód, zakłócał misterium. Fakt, że słońce codziennie wschodziło w tym samym, przewidywalnym miejscu, w tym samym zawsze zachodziło, w niczym nie umniejszał wspaniałości spektaklu. Codziennie przyczyniał Annie tej samej radości, dając jej jeszcze jeden powód, by zwłóczyła z wyjazdem. Przynajmniej do końca lata, kiedy to finanse zmuszą ją do podjęcia ostatecznej decyzji.

Ale do końca lata było jeszcze daleko, miała czas. Zaparkowała swoje sportowe coupe przed chatą, usiadła na ganku i zapatrzyła się w płonące wszystkimi tonami szkarłatu niebo. Ba, gdyby potrafiła oddać tę grę barw w swoim witrażu. Jej największe, najpoważniejsze jak dotąd dzieło miało epicki wymiar: w centrum rodzina zebrana przy ognisku przed wigwamem, na okręgu cykl życia, wszystkie pory roku i wszystkie pory dnia.

Dzwonek telefonu wyrwał ją z zadumy, zerwała się z fotela i wbiegła do domu. W słuchawce zabrzmiał ciepły, znajomy głos. Rada, że słyszy Jewell, natychmiast opowiedziała jej o spotkaniu z „potworną bestią”.

- Johnny? - zdziwiła się Jewell. - Nie chcę kwestionować twojej opinii, ale to naprawdę miły człowiek. Miły i kompetentny w tym, co robi. Nauczyciele bardzo go lubią, uczniowie, o dziwo, też. Nie wiem, czym mu się tak naraziłaś, że napadł na ciebie.

Annie tak jak w pierwszej chwili się ucieszyła, że może zwierzyć się przyjaciółce, tak teraz była bliska obrazy; jak Jewell może sugerować, że to ona zawiniła? Czy to jej wina, że Lonebear zachował się grubiańsko?

- Johnny? - powtórzyła zdziwiona, dobrze pamiętając krótki a treściwy wykład na temat obowiązujących w szkole form.

Teraz okazywało się, że bodaj ona jedna nie miała prawa zwracać się do niego po imieniu. Skoro tak, od jutra będzie go tytułować „sir”.

- Zostałam pouczona, że nauczyciele w Łowcach Snów zwracają się do siebie po nazwisku - powiedziała sztywno, po czym mruknęła pod nosem: - I oddają honory przełożonym.

- Tylko przy uczniach. - Jewell zignorowała zjadliwy komentarz na temat przełożonych. - Myślałam, że skoro uciekłaś od chaosu, spodoba ci się trochę bardziej uporządkowany świat. Naszym nauczycielom podoba się ta etykieta. Uczniom też. W domu często brakuje im jakichkolwiek zasad, znajdują je w szkole.

Annie mogła w to uwierzyć, ale akurat teraz nie miała ochoty słuchać o nadzwyczajnych przymiotach charakteru tego impertynenta Lonebeara. Przytrzymując telefon policzkiem, otworzyła lodówkę, wyjęła dzbanek z lemoniadą i mruknęła coś, co miało zachęcić Jewell do rozwinięcia tematu.

- Mów - wyartykułowała już wyraźnie, walcząc z taczką do lodu i usiłując wydobyć z niej kilka kostek. - Słucham.

- Może miał po prostu zły dzień, Annie. A może chodzi o to, że nie on cię zatrudniał, chociaż w to akurat trudno mi uwierzyć. Nie należy do tych szefów, którzy na każdym kroku muszą udowadniać, że to oni rządzą i są najważniejsi. Kiedy miałaś rozmowę kwalifikacyjną, musiał być w Waszyngtonie. Może nie otrzymał w Kongresie poparcia, na które liczył, i dlatego jest skwaszony, ale bardzo w to wątpię. Ten człowiek jest geniuszem, jeśli idzie o pozyskiwanie sobie ludzi. Zrobił z Łowców Snów jedną z najlepszych szkół średnich w kraju.

W głosie Jewell zabrzmiała nieukrywana duma.

- Jezu, prawdziwy święty - mruknęła Annie, nie mogąc się powstrzymać od ironii.

- Może nie do końca - Jewell zaczęła się śmiać. - Zapytaj starszycnę, jeśli będziesz miała okazję. Chętnie ci opowiedzą, jak nasz bohater przehulał młodość. Oczywiście będą mówić o nim serdecznie, pełni uznania, że wyrósł jednak na porządnego człowieka.

- Przehulał młodość? - powtórzyła Annie zaintrygowana.

- W szkole średniej wszystkim dziewczynom zawracał w głowie, żadnej nie przepuścił, ale te, które za nim się uganiały, nie miały żadnych szans. Lubił podboje. Ludzie do dziś się zastanawiają, ile dzieci z rezerwatu mogłoby nazywać go tatusiem. Jeździł na harleyu, szpanował, bardziej interesował go sport niż nauka - jeśli się uczył, to z konieczności, żeby przejść do następnej klasy.

Annie zgryzła kostkę lodu. Powstrzymała się siłą woli,

żeby nie wypluć lodowych kruszyn, taki poczuła niesmak w ustach. To, co usłyszała, przekonało ją ostatecznie, że jej nowy szef jest człowiekiem rozumnym inaczej, krótko mówiąc: kompletnym osłem. A że jej droga przyjaciółka dała się zwieść durniowi, to już nie jej problem.

Były w jej życiu sprawy, z których nie chciała zwracać się nikomu, nawet Jewell. Gdyby wiedziała, jak wyglądały szkolne lata Annie, nie pokpiwałyby teraz tak bez troski z Lonebeara. Annie wolała zmienić temat na bezpieczniejszy: zaczęła rozmawiać o ogrodzie, kilka razy powtórzyła, że pamięta o podlewaniu ukochanych nagietków Jewell.

Po cichu przyrzekała sobie, że nie poświęci już Lonebearowi żadnej myśli, z wyjątkiem jednej: musi się zastanowić, jak go unikać w przyszłości.

Ktoś tak słodki i naiwny jak Jewell mógł łatwo ulec czarowi czarnych oczu, zafascynować się opowieściami o bujnej młodości, ale Annie, nauczona doświadczeniem, wiedziała aż za dobrze, że słowu mężczyzny ufać nie można. A już w żadnym razie deklaracjom składanym w porywach namiętności. Annie była na tym polu ekspertem. Mogłaby urządzić dla swoich uczennic kurs samoobrony emocjonalnej: „Relacje między płciami w świetle współczesnej praktyki”. Dorobiłaby do nędznej pensyjki i wniosła znaczący wkład w rozwój sztuk walki.

Wyobraziła sobie, jaką Lonebear miałby minę, gdyby zgłosiła podobną propozycję, i poczuła coś w rodzaju ponurej satysfakcji. Nie mogła zapomnieć jego pouczeń, nie

mogła pogodzić się z tym, że ma się ograniczyć do prowadzenia swoich zajęć i nie wyrażać w klasie prywatnych poglądów. Nie potrafiła oddzielać obu tych rzeczy i wcale nie była pewna, czy się jej to uda. To tak jakby próbować stworzyć witraż bez użycia ołowiu, licząc, że wystarczy siła woli i myślenie życzeniowe, żeby kompozycja nie rozsypała się na tysięczne drobiny. Z tego dokładnie powodu zrezygnowała z poprzedniej pracy i zaczęła szukać czegoś spokojniejszego. Dobrze, skoro tak musi być, zastosuje się do pouczeń Lonebeara. Skoro inni ludzie mogli wypełniać swoje obowiązki zawodowe, nie angażując w nie serca, dlaczego ona by nie mogła?

Pomimo twardego postanowienia, że nie będzie przywiązywać się do uczniów, Annie szczerze się ucieszyła, widząc następnego dnia Zorzę na zajęciach. Nie mniej ucieszyło ją, że nie natknęła się na irytującego wuja.

Jak zawsze, kiedy przychodziło do procesu twórczego, czas mijał nie wiadomo kiedy. Przeglądanie i omawianie uczniowskich projektów, korekty, dyskusje na temat techniki, kompozycji, tematu... Lekcja tak ją pochłoneła, że po pierwszych kilku minutach przestała się martwić, iż lada chwila w drzwiach może się pojawić nieproszony gość, jak poprzedniego dnia. Liczyło się tylko to, że pomaga dzieciakom odkrywać drzemiące w nich talenty. Porywało ją to, inne jej umiejętności, wymagające bardziej analitycznego podejścia do rzeczywistości, szły na bok.

Kiedy zakłopotana Zorza próbowała ją przeproszać za zachowanie wuja, nie chciała słuchać, zbyła dziewczynę, mówiąc, że przeprosiny są niepotrzebne, i położyła jej dłoń na ramieniu.

- Świetnie sobie radzisz z projektem. Jeśli będziesz pracowała w takim tempie, przed końcem semestru zdążysz zacząć następną kompozycję.

Zdawała sobie sprawę z możliwych reperkusji, ale mówiła dalej, nie mogła się powstrzymać, nakazać sobie milczenia. Dobierała jednak starannie słowa:

- Dostałam wyraźne polecenie, żeby nic ci nie doradzać, nie zachęcać cię do studiów. Pomimo to musisz wiedzieć, że posiadasz ogromny, niezwykły talent. Co z nim zrobisz, to już twoja sprawa.

Zorza uśmiechnęła się niepewnie. Annie mówiła nie tylko o witrażu, który dziewczyna właśnie kończyła, ale i o innych, wcześniejszych jej pracach. Oceniała wszystko, co dotychczas widziała.

- Dziękuję - bąknęła nieporadnie.

Lepiej potrafiła wyrazić swoje uczucia środkami plastycznymi niż słowami, ale była szczerze wdzięczna, że Annie, pomimo pogroźek Lonebeara, wspiera ją w pracy i zachęca do podjęcia samodzielnej decyzji, nawet wbrew rodzinie.

- Niech się pani nie przejmuję wujem - powiedziała nieśmiało, chcąc się jakoś odwdziżyć za dobre słowo.

- On nie jest groźny. Czasami się wygłupi, ale w gruncie rzeczy to wielki, ciepły misio.

Annie omal nie parsknęła śmiechem. Misio! Prędej grizzly, jeśli już. Uśmiechnęła się do Zorzy, trochę ubawiona, że tak sobie nawzajem dodają otuchy, i posłała krótką modlitwę do nieba, żeby Lonebear, Samotny Niedźwiedź, zapadł już teraz, w środku lata, w sen zimowy i nie obudził się przed końcem jej kontraktu.

Kiedy zajęcia się skończyły, tak bardzo pochłoneła ją praca nad własnym witrażem, że nie zauważyła, że od dłuższego czasu nie jest w pracowni sama.

- Ładny - mruknął w końcu Johnny.

Napatrzywszy się do syta na pracującą w skupieniu nauczycielkę, stanął za nią, ciekaw jej dzieła.

Annie omal nie wypuściła z rąk sporego kawałka szkła, który właśnie trzymała w dłoniach. Była gotowa przysiąc, że specjalnie nałożył mokasyny, zamiast kowbojskich butów, które nosił poprzedniego dnia, żeby zająć ją zniecka.

O dziwo, nieoczekiwany komplement sprawił jej autentyczną przyjemność, był niczym rzadki tropikalny kwiat, co rozkwitł raptem na pustyni. Oczywiście mówił o bliskiej ukończeniu kompozycji, ale w głowie Annie natychmiast zrodziło się mimowolne pytanie, jak też by to było usłyszeć podobne słowa w odniesieniu do zapachu jej perfum, fryzury czy - tak, tak - to też przemknęło jej przez myśl, kształtu jej piersi.

- Bardzo się cieszę, że moja praca znajduje uznanie w pana oczach - powiedziała cierpko, dzielnie dając odpór absurdalnym rojeniom.

Lonebear nie przyjął do wiadomości, że jest niepożądanym gościem. Zamiast taktownie się wycofać, nachylił się nad stołem i przesunął palcami po szarofioletowych kawałkach szkła, z których miał powstać obszar nieba rozświetlanego pierwszym brzaskiem.

Annie życzyła w duchu natrętowi, żeby pokaleczył sobie palce o ostre krawędzie szkła, ale nic nie powiedziała. Miała nadzieję, że skoro opryskliwość nie zadziałała, może milczenie będzie skuteczniejsze; Lonebear zrozumie, że jest niemile widziany, i wyjdzie.

Nie rozumiał, a nawet jeśli tak, nie spieszył się z wyjściem.

- Ostatnio dochodzą do mnie sprzeczne opinie na pani temat, chociaż nikogo nie prosiłem o zdanie - oznajmił rzeczowym, obojętnym tonem.

Czegoś takiego zupełnie się nie spodziewała, bardziej chyba nie mógł jej zaskoczyć. Oparł się o wielki stół, na którym leżała tworzona przez Annie kompozycja, i posłał jej niemal przyjacielski uśmiech.

Wolała nie dopytywać się, kto poczuł nieodpartą potrzebę podzielenia się z Lonebearem opinią na jej temat i jak ta opinia brzmiała. Czuła, że nie usłyszałaby nic przyjemnego.

- Doprawdy? - rzuciła, usiłując nadać swojemu głosowi możliwie najbardziej nonszalanckie brzmienie.

- Moja siostrzenica domaga się, żebym panią przeprosił - ciągnął. - Jedna z naszych nauczycielek, którą bardzo cenię, zadzwoniła do mnie zupełnie niespo-

dziewanie wczoraj wieczorem i zrugąła, że niby okropnie się z panią obszedłem. Z kolei moja ukochana siostra twierdzi, że węże legną się pani w głowie, i nalega, że-
bym panią wyrzucił ze szkoły, zanim całkiem omami jej córkę.

- Węże w głowie? - powtórzyła Annie i zmarszczyła czoło.

- To stare indiańskie powiedzenie, oznaczające mniej więcej, że komuś brakuje piątej klepki. - Uśmiechnął się krzywo i zerknął na rozłożone na stole narzędzia. - Patrząc na pani dzieło i opierając się na tym, co mówią uczniowie o pani talentach pedagogicznych, jestem gotów zgodzić się z Zorzą, ale proszę, niech jej pani tego nie powtarza. Młodzi ludzie nie powinni zbyt często mieć racji, a jeśli już mają, to nie powinni się o tym dowiadywać. Taka wiedza fatalnie wpływa na charakter.

Annie była kompletnie zaskoczona tyleż radykalną zmianą w zachowaniu Lonebeara co jego specyficznym poczuciem humoru.

- Czy to mają być przeprosiny? - zapytała zbita z tropu niezwykłym obrotem spraw.

- Jeśli czeka pani na formalny akt skruchy, to czeka na próżno - zastrzegł się Lonebear.

Annie zbyt późno się zorientowała, że nie powinna patrzeć w te oczy czarne jak otchłanne wody. Raptem poczuła się niczym pływak, który zaczyna tonąć na głębinie i wie, że nie dotrze do bezpiecznego brzegu. Pomimo wszystko zdobyła się na desperacki wysiłek.

- Zatem rozejm, panie Lonebear?

- Powiedzmy, że chwilowy, panno Wainwright - powiedział, robiąc oko, po czym ujął dłoń Annie i mocno uściśnił, jakby chciał przypieczętować formalne porozumienie.

- I mów mi Johnny, tylko przy uczniach zwracaj się do mnie per „panie Lonebear”.

Poczuła znajome już mrowienie w czubkach palców, po chwili już w całym ciele. Z dłoni Lonebeara emanowała tajemnicza, ożywiająca zmysły energia, w oczach przebłyskiwała naładowana erotyzmem obietnica. Niezwykle to były oczy: Annie miała wrażenie, że świat fiknął koziołka, stanął na głowie, a jej ziemia usunęła się spod stóp.

Odwróciła wzrok i utkwiała spojrzenie w jakiejś plamie na podłodze. Uwolniła dłoń z uścisku Lonebeara i szukając tematu, który pozwoliłby jej zapomnieć o własnych niekontrolowanych i gwałtownych reakcjach, wskazała na kompozycję, nad którą pracowała.

- Co myślisz o moim witrażu? - zagadnęła. - Chcę go podarować szkole i chętnie wysłucham twoich uwag. Chciałabym, żeby ta praca przemawiała do uczniów i nie tylko do uczniów. Powinna być ważna dla wszystkich, /
bardzo mi na tym zależy.

Johnny miał tak zaskoczoną minę, że Arinie parsknęła śmiechem niczym nastolatka i zaraz zawstydziła się tego swojego pensjonarskiego śmiechu, stanęła w pasach, co nie było o wiele lepsze. Z drugiej strony ostatnimi czasy

nie miała specjalnych powodów do śmiechu, więc nie powinna sobie czynić wyrzutów.

Johnny'emu jej śmiech nie zabrzmiał wesoło, ale nie powiedział, wrócił do pytania Annie; jak ona wolał się trzymać bezpiecznego tematu.

- Po obu stronach wigwamu mogłabyś dodać symbole Szoszonów i Arapaho. Jedni i drudzy mieszkają w naszym rezerwacie, byłoby miło, gdybyś to zaznaczyła w swojej kompozycji.

Nie dodał, że rząd, lokując razem zwaśnione i od wieków walczące ze sobą plemiona, miał nadzieję, że się nawzajem pozabijają i tyle po nich śladu zostanie co po amerykańskich bizonach, wybitych niemal całkowicie w dziewiętnastym wieku. Nie chciało mu się też wyjaśniać, że wyniszczenie tych zwierząt było częścią cynicznego planu i oznaczało zagładę rdzennych mieszkańców Ameryki, których biali zdobywcy kontynentu nie zdołali wymordować; pozbawieni zwierzyny łownej mieli wyginąć z głodu.

Johnny przemilczał to wszystko, mówiąc sobie, że jedyne, co łączy Annie Wainwright z jej bezwzględnyimi przodkami, to jasne włosy i jasna karnacja. Nie było sensu wracać do przeszłości, przypominać win poprzednich pokoleń, trwać we wzajemnej, wielowiekowej nienawiści. Nie po to ryzykował życie dla swojego kraju, kiedy służył w marines, żeby teraz wracać do minionych zbrodni. Nie oznaczało to, że gotów był o nich zapomnieć, pamiętał, ale rozumiał, że historii nie da się cofnąć i nie

można karmić się resentymentami, wiecznie rozdrapywać dawnych ran. To wszystko wiedział, był zwolennikiem porozumienia, z drugiej jednak strony rozumiał do pewnego stopnia nieufność swojej siostry, jej zastrzeżenia wobec białych współziomków.

- Dzięki za dobrą radę - powiedziała Annie z uśmiechem i Johnny ocknął się z rozmyślań.

Kiedy tak się uśmiechała, całkiem zapominał o swoim postanowieniu odnoszenia się do niej z chłodnym dystansem. Na darmo mówił sobie, że powinien zachować dystans, a jego relacje z Annie powinny ograniczać się do czysto służbowych.

- Niewiele wiem o rdzennej kulturze amerykańskiej, tyle, co zdołałam wyczytać z książek, ale nie mam zaufania do opracowań popularnonaukowych - wyznała Annie.

- Chyba słusznie - przytaknął Lonebear.

W jego przekonaniu ludzie zbyt często polegali na książkach poświęconych rdzennym Amerykanom, a pisanych przez białych, którzy albo chcieli pokazać zniszczoną kulturę w negatywnym świetle, albo na siłę ją gloryfikowali. Annie też była obca, należała do innego świata i już samo to czyniło ją osobą podejrzaną, a jednak chętnie przyjęła uwagę Johnny'ego; powinien to docenić.

I docenił.

- W ten weekend w Fort Washakie będzie pow-wow - zaczął. - Zapraszam cię, jeśli masz ochotę. Będę twoim przewodnikiem. Poznasz trochę lepiej nasze obyczaje,

znajdziesz motywy, które będziesz mogła wykorzystać w swoim witrażu.

Chce być jej przewodnikiem?

Nie potrafiła zdecydować, czy powinna poczuć się urażona, czy też pochlebiona nieoczekiwaną ofertą. Propozycja zabrzmiała tak, jakby się poświęcał dla dobra sprawy. Równie dobrze mógł zaproponować psa przewodnika, który pomógłby jej poruszać się po rezerwacie.

Z całą pewnością nikt nie mógł zarzucić Lonebearowi przesadnej delikatności w obejściu. Pomimo to perspektywa spędzenia z nim kilku godzin poza szkołą, na prywatnej stopie, nęciła. Świątełko ostrzegawcze, które dotąd paliło się w głowie Annie, zgasło. Niedobrze. Po prostu miała ochotę pojechać z Johnnym na pow-wow, z drugiej strony, jeśli wierzyć słowom Jewell, należało omijać tego człowieka szerokim łukiem; przeszłość miał zbyt barwną, a reputację podejrzaną. Nie mówiąc już o tym, że największa idiotka wie, że nie należy nawiązywać zbyt bliskich kontaktów z własnym szefem, bo takie poufałości zawsze źle się kończą.

Annie miała jednak mocny kontrargument: czy postąpi mądrze, odrzucając wyraźną propozycję zawarcia pokoju?

- Czyżbyś zapraszał mnie na randkę? - zapytała wprost, zbyt zaskoczona, by prowadzić jakąkolwiek grę.

Na twarzy Lonebeara pojawił się leniwy, niebezpieczny uśmieszek, jakby znowu był tamtym lekkoduchem sprzed lat, pożeraczem młodych i niedoświadczonych

serc, które jeszcze nie potrafią się bronić przed lisimi zamiarami. Niezwykły to był uśmiech, wewnętrznie sprzeczny, by tak rzec: mogło się wydawać, że Johnny kpi z Annie i jednocześnie śmieje się do niej.

Poczuła, że kolana się pod nią uginają. Rano, przed wyjściem do pracy, na łące za domem Jewell widziała młodziutkiego jelonka z matką. Mały ledwo mógł ustać na niepewnych jeszcze nogach. W tej chwili niewiele się od niego różniła. Na wszelki wypadek oparła się o stół, przybierając nonszalancką - bardzo chciała, żeby tak to właśnie wyglądało - pozę.

- Może „zbieranie materiałów” zabrzmiał lepiej, nie sądzisz? - podsunął Johnny i w jego czarnych oczach zabłyśły wesołe iskierki. - Dlaczego od razu „randka”?

ROZDZIAŁ TRZECI

Przez następną dobę Annie wyrzucała sobie, że zostawiła uwagę o „zbieraniu materiałów” bez komentarza. To żadna „randka”, tylko „zbieranie materiałów”, poprawił ją Johnny, kiedy zadała mu nieopatrzone pytanie. O jakich „materiałach” mówił? Czy miał na myśli jej nieobeznanie z lokalną kulturą? A może to on zamierzał „zebrać materiały” na temat nowej nauczycielki, zanim złoży raport swojej wojowniczej siostrze? Czyżby chciał się upewnić, czy Annie Wainwright rzeczywiście ma węża w głowie i w związku z tym stanowi poważne zagrożenie dla młodych, nieukształtowanych jeszcze umysłów?

Żadna z tych ewentualności nie budziła w niej szczególnego zachwytu.

Im dłużej rozważała dręczącą kwestię, tym mniejszą miała ochotę na wycieczkę do Fort Washakie. Nie wiedziała zupełnie, w czym powinna wystąpić na pow-wow. Nie była ani kowbojką z Dzikiego Zachodu, ani Indianką, nie utożsamiała się, bo niby jak, z żadną z tych kultur.

Nie widziała siebie w skórzanej spódnicy, warkoczach i koralikach; tak samo nie mogła sobie wyobrazić, że włoży kowbojskie buty i wciśnie na głowę stetson.

Uznawszy w końcu, że udawanie kogoś, kim nie jest, nie ma najmniejszego sensu, bo i tak będzie rażąco odstawać od ludzi bawiących się na festynie, postanowiła w końcu pozostać przy swoim zwykłym stroju: T-shirt, szorty, tenisówki. Tak się ubierała w weekendy, kiedy chciała czuć się swobodnie, tak też ubierze się na pow-wow. Po konsultacjach z Jewell wprowadziła jednakowoż dość poważną korektę, zamieniając szorty na dżinsy w obawie, że krótkie spodnie mogłyby zostać odczytane jako wyraz braku szacunku dla wrośniętego w tradycję święta.

Więcej uwagi niż zwykle poświęciła fryzurze, ale to była już wyraźna koncesja na rzecz Lonebeara, który lada chwila miał się pojawić, żeby ją zabrać do Washakie. Może nawet nie koncesja na jego rzecz, co przed nim ochrona. Ostatnio wiązała włosy w koński ogon, było to praktyczne i wygodne, miało też swoje metaforyczne znaczenie: odsłaniała twarz, stawiała czoło światu.

Dzisiaj postanowiła zrezygnować z kucyka, żeby, jeśli zajdzie potrzeba, skryć się za jedwabistą zasłoną. Stary chwyt, stosowany z powodzeniem przez nieopierzone nastolatki, teraz jej miał przyjść w sukurs. Odnalazła po długich poszukiwaniach lokówkę Jewell i ułożyła włosy tak, że miękkimi falami opadły na ramiona.

Z rózu zrezygnowała, policzki tak jej pałały, że nie potrzebowała kosmetyków. Uspokój się, nie jesteś smar-kulą, która idzie na pierwszą randkę, tylko dorosłą kobietą, powtarzała sobie, patrząc w lustro. Nie może po-

kazać Johnny'emu, jak bardzo jest zdenerwowana tym zaimprovizowanym naprędce wspólnym wyjazdem, nie da mu tej satysfakcji. Jest wystarczająco dojrzała, by wyjść naprzeciw przypadkom, jakie niesie los.

Wystarczająco dojrzała, by rozróżniać między rojeniami i rzeczywistością.

Faktami i fikcją.

Pożądaniem i miłością...

Annie miała wszelkie podstawy przypuszczać, że dzisiejsza wycieczka nie będzie wcale sympatyczniejsza od pierwszego spotkania z Lonebearem. Była niemal pewna, że zagadkowy szef potraktuje ją na festynie jak intruza, jak szukającą etnicznych wrażeń turystkę. Dał jej już wyraźnie do zrozumienia, jak postrzega jej obecność w rezerwacie. Biała kobieta, której nic nie łączyło z lokalną społecznością, nie miała tu, w jego pojęciu, czego szukać.

Rozległo się głośne pukanie do drzwi; Annie podskoczyła, strącając przy okazji flakonik z perfumami, stojący na szafce w łazience.

- Wejść! - krzyknęła i nachyliła się, żeby podnieść flakonik. Przy okazji natarła perfumami nadgarstki.

Nie pamiętała już, kiedy ostatnio była umówiona z mężczyzną, nawet na spotkanie, które - jak dzisiejsze - niewiele miało wspólnego z randką, i fakt ten zupełnie wytrącił ją z równowagi. Zapomniała już, ile wysiłku i energii pochłaniają przygotowania. Pomimo wykrzychanego zaproszenia drzwi frontowe nawet się nie uchyliły. Ze sztucznym uśmiechem na twarzy pobiegła wpuścić gościa.

Otworzyła... i dech jej zaparło na widok Johnny'ego.

Ubrany w dżinsy i dżinsową koszulę z krótkim rękawem. Zmierzył ją od góry do dołu uważnym spojrzeniem, w czarnych jak węgiel oczach odmalowało się coś na kształt aprobaty.

- Ładnie wyglądasz - powiedział niemal obojętnym tonem, który nijak nie harmonizował z błyskiem w oku.

Annie nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Dzięki - bąknęła w końcu, mówiąc sobie jednocześnie, że nie musi, nie powinna rewanżować się komplementem za komplement.

Co miała powiedzieć temu zabójczemu egzemplarzowi rodzaju męskiego? Że „ładnie” wygląda? Zbyt blade określenie, wręcz absurdalne w odniesieniu do Lonebeara.

Annie zachowała na tyle trzeźwości umysłu, by nie cofnąć się gwałtownie. Gwałtownie i daleko.

Zachowała na tyle trzeźwości umysłu, by nie zrobić kroku do przodu, a miała nieprzepartą ochotę podejść do Lonebeara blisko, bliźniutko i położyć dłoń na jego ramieniu, dotknąć mięśni.

Mało tego, wsunąć dłoń pod koszulę, poczuć pod palcami mięśnie klatki piersiowej...

Jakoś przemogła reakcję rozszalałych hormonów i uśmiechnęła się jak osoba, która, a jakże, ma całkiem po kolei w głowie.

- Wezmę tylko torebkę i możemy jechać.

Nie zaprosiła go do środka i nie zaproponowała „ogłędania domu”. Lonebear nie sprawiał wrażenia człowieka

specjalnie zainteresowanego wystrojem wewnątrz. Annie pomyślała, że mógłby sypiać pod rozgwieżdżonym niebem, i natychmiast oczami wyobraźni ujrzała dwa spięte razem śpiwory i, jakżeby inaczej, siebie w ramionach Lonebeara. Chwyciła torebkę, jakby to było koło ratunkowe, i wypowiedziała jedno z większych kłamstw w swoim życiu:

- Jestem gotowa - oznajmiła, choć tak naprawdę miała ochotę zatrzaskać drzwi, zaryglować je i schować się w najciemniejszym kącie.

Johnny z niejakim politowaniem patrzył, jak Annie przekręca klucz w zamku. Nikt w rezerwacie nie zawracał sobie głowy takimi bzdurami. Nie dlatego, że nie byłoby co ukraść; ludzie po prostu uważali, że dom powinien zawsze być otwarty dla innych, dla każdego, kto znajdzie się w potrzebie, nieważne, czy gospodarze są obecni, czy nie. Może był to drobiazg, nieznaczną różnicą kulturową, ale dla Johnny'ego urastała do istotnego problemu, tworzyła przepaść między jego światem i światem, w którym żyła Annie Wainwright.

Terenowa furgonetka Johnny'ego połyskująca chromami w popołudniowym słońcu dobrze odzwierciedlała osobowość właściciela; silny wóz silnego faceta. Na tylnej szybie, tuż pod kalkomanią z flagą amerykańską, widniał znak Native Pride . Na skrzyni siedział czarny potwór przypominający niedźwiedzia. Na widok powracającego pana zaczął

* Native Pride - „Jesteśmy dumni z naszych korzeni”, znak tożsamości rdzennych Amerykanów.

radośnie ujadać, co trochę uspokoiło Annie: potwór jednak był oswojony. Minę miała pomimo wszystko nietęgą.

- Spokój, Smokey! - uciszył psa Lonebear.

Potwór w odpowiedzi wywalił jęzor i zaczął z zapalem machać imponującym ogonem, właściwie cieszył się całym ciałem. Właściciele psów dobrze wiedzą, jak wygląda takie psie „machanie sobą”. Annie na wszelki wypadek trzymała się z dala od kudłatego perpetuum mobile. Dojrzała w oczach pana i psa coś jakby rozczarowanie. Może tylko to sobie wyobraziła, ale była gotowa przysiąc, że obydwaj oczekiwali, że zdobywszy się na odwagę, dotknie jednak wielkiego czarnego łba i przywita się z bestią. Przyzwoity człowiek powinien się tak zachować, ale przyzwoity człowiek był tak przerażony, jakby miał włożyć rękę do paszczy lwa.

- Rozumiem, że mam przyjemność z Misiem Smokeyem? - zdobyła się na żart, choć serce waliło jej jak młotem i poziom produkowanej przez organizm adrenaliny wydatnie się podniósł.

Johnny odpowiedział uśmiechem.

- Nie bój się go - uspokoił Annie. - Jest bardzo przyjacielski. Dopóki nie uzna, że coś mi grozi.

Nie bardzo wiedząc, jak się odnieść do tej informacji, Annie podeszła do drzwi od strony pasażera. Johnny, z nieco staroświecką galanterią, zdążył już je otworzyć, chociaż mogła doskonale zrobić to sama.

Kabina zawieszona była wysoko i dostanie się do niej nastęrczało niejakiem trudności. Mówiąc wprost, musia-

łoby się sprowadzić do nieporadnego gramolenia, ale i tu Johnny wykazał się refleksem. Poczwała jego dłoń na łokciu i ognista kula eksplodowała w piersi biednej Annie. Wystarczyło jedno niewinne dotknięcie. Niech to diabli, zaklęła w duchu. Po co jej pomagał?

A już myślała, że szczęśliwie zapomniwała, jak bardzo jej ciało spragnione jest mężczyzny.

Johnny zatrzasnął drzwi, przeszedł na drugą stronę i wskoczył lekko na swoje miejsce. Dla wielkoluda wysokie zawieszenie nie stanowiło żadnego problemu. Usadowiwszy się za kierownicą, przekręcił kluczyk w stacyjce.

- Gotowa na wyprawę? - zapytał i nie było to pytanie zdawkowe, najwyraźniej zależało mu na szczerej odpowiedzi, a uśmiechnął się przy tym tak, że Annie znowu oblała fala gorąca.

Teraz żałowała, że jednak zdecydowała się na dzinsy zamiast na przewiewne szorty. Reagowała jak smarkula, jak pensjonarka. Od bardzo, bardzo dawna nie czuła się tak idiotycznie jak w tej chwili. Bała się prosić Lonebeara, żeby włączył klimatyzację, bo gotów byłby się domyślić, do jakiego stanu ją doprowadza. Skinęła tylko głową w odpowiedzi na jego pytanie, chociaż wcale nie czuła się gotowa spędzić pół dnia w jego towarzystwie.

Johnny nie mógł uwolnić się od wrażenia, że jego pasażerka zdecydowanie wolałaby podróżować na skrzyni, zamiast z nim w kabinie. Zdawała się taka odległa

i nieprzystępna, jakby między nią i Lonebearem wyrósł mur, Wielki Mur, mówiąc ściśle. Jedną dłoń zacisnęła na uchwycie nad szybą, drugą położyła na podołku w jakimś dziwnie obronnym geście. Chciał ją uspokoić, powiedzieć, że nie ma się czego obawiać, ale podobne kłamstwo nie przeszłoby mu przez gardło. Reakcje jego ciała na bliskość tej kobiety jasno dowodziły, że jej obawy nie są tak zupełnie bezpodstawne, jak mogłoby się wydawać.

Samego go zaskoczyło, że zaprosił ją na pow-wow.

Powtarzał sobie, że Annie Wainwright zupełnie nie jest w jego typie, ale nic to nie pomagało: pragnął jej i już. A przecież do tej pory unikał białych Amerykanek. Poza tym lubił dziewczyny wysokie, ciemnowłose, ciemnonookie, o ciemnej karnacji. Kruczoczarne, przyciągające oko piękności. Otwarte, takie, które nie mają problemów z własną seksualnością i umieją cieszyć się seksem. Potrafią przejąć inicjatywę, robią pierwszy krok, same wybierają sobie mężczyznę.

Bolesne doświadczenie nauczyło go, że do niego należy raczej robienie ostatniego kroku.

Trochę go przerażało, że ta jasnoskóra, jasnowłosa - w dodatku pruderyjna - dziewczyna tak działa mu na zmysły. „Trochę”, łagodnie powiedziane... Gdyby jego siostra wiedziała, jakie myśli chodzą mu po głowie, jakie wyobrażenia płata mu figle, zapłonęłaby świętym oburzeniem.

Obiecał Zorzy, że da pannie Wainwright szansę, po-

stara się zapomnieć o swoich uprzedzeniach, ale nie przypuszczał, że nowa nauczycielka wzbudzi w nim tak żywe uczucia. Był niemal pewien, że relacje z nią będą dokładnie tej samej natury co z resztą podwładnych.

Bardzo się mylił. Jego stosunek do Annie daleki był od zawodowego.

Włączył klimatyzację na pełny regulator, ale niewiele to pomogło. Nic dziwnego, że odetchnął z ulgą, kiedy dotarli do Washakie.

Przemierzył kawał świata, widział różne dziwy, ale zawsze śmieszyła go dumna tablica obwieszczająca kierowcom, że wjeżdżają do miasta liczącego ni mniej, ni więcej tylko dwustu siedemdziesięciu jeden mieszkańców. Miejscowi twierdzili, że populacja Fort Washakie nie zmienia się od lat tylko dlatego, że ilekroć rodzi się kolejne dziecko, kolejna osoba ucieka z metropolii. Ponieważ dowcip, wątpliwej zresztą klasy i mocno stary, dotyczył także jego, nie czuł potrzeby sprzedawania go Annie. Kiedy wjechał na parking, skądś napłynął ledwo pochwytny zapach smażonego chleba a z nim wspomnienia dzieciństwa spędzonego w domu babci. To ona wychowywała Johnrty'ego i Ester po tragicznej śmierci rodziców, którzy zginęli w wypadku samochodowym. Ale zapach smażonego chleba, miejscowego przysmaku, obok wspomnień niósł też obietnicę trzydniowej zabawy: śpiewów, tańców, bie-

* placki drożdżowe smażone na głębokim oleju, dodatek do zup i mięs, z kuchni Indian Navajo.

siad, loterii fantowych i rozmaitych konkursów. Dość, by wprawić Johnny'ego w dobry humor.

Pow-wow odbywał się na wielkiej arenie otoczonej rzędami ławek. Wokół areny rozstawili swoje stragany handlarze. Przeważała biżuteria: srebro, jadeit, turkusy, sporo też było rozmaitych ozdób z koralików, wyrobów ze skóry, zabawek, wreszcie zdumiewająca doprawdy liczba budek z jedzeniem.

Nie mniej zdumiał Annie fakt, że za wstęp na festyn nie trzeba było płacić. W sumie jednak czuła się niepewnie, cały czas miała wrażenie, że ktoś do niej podejrze i poprosi grzecznie, żeby się wynosiła.

Zatrzymali się przy jednej z budek. Johnny kupił Annie colę i porcję smażonego chleba. Uwielbiał ten chleb, nieodmiennie kojarzył mu się z dzieciństwem, z chatką babci, z jej piosenkami, z jej opowieściami o starych obyczajach plemiennych. Cierpliwie zaszczepiała we wnukach dumę pochodzenia, tak jak cierpliwie tworzyła piękne ozdoby z koralików: sprzedawała je i w ten sposób utrzymywała rodzinę. Dla siebie zamówił „Wielkiego Indianina”: ogromny talerz duszonego mięsa serwowanego na smażonym chlebie.

Annie rozglądała się dookoła, wszystkiego ciekawa, podniecona, zafascynowana. Johnny dobrze pamiętał własne podniecenie i własną fascynację, kiedy pierwszy raz miał okazję uczestniczyć w pow-wow. Zachowywał się tak samo jak teraz Annie.

Ostrzegał ją, co prawda, że się pobrudzi, ale ona pomimo to zdecydowała się zjeść swój placek chlebowy

z miodem i teraz pomrukiwała zachwycona. Nie miała pojęcia, jak sama słodko wygląda z miodem ściekającym po brodzie.

- Zaczekaj. - Johnny wyjął z kieszeni chusteczkę. - Pozwól, wytrę cię.

Annie poczuła się jak małe dziecko, ale to wrażenie ustąpiło innemu, znacznie silniejszemu i całkiem odmiennemu. Kiedy spojrzała w oczy Lonebeara, cały świat zniknął, nie pamiętała już, gdzie jest, co się dzieje wokół niej. Zniknęło wszystko, zostało tylko całkowicie niespodziewane i w najwyższym stopniu niestosowne pragnienie.

Uniosła głowę, jakby oczekiwała pocałunku, tak to w każdym razie wyglądało, gdyby obserwował ją ktoś postronny. Johnny na moment znieruchomiał, bliski tego, by zlizać miód z ust Annie, porwać ją na ręce, zanieść do najbliższego wigwamu i tam, natychmiast, oddać się z nią aktom dzikim i namiętnym. Pohamował się jednak i ograniczył do prozaicznego gestu: starł złocistą strużkę z jej brody.

Annie zakręciło się w głowie, ziemia niebezpiecznie zakołysała się pod stopami. Dla zachowania równowagi położyła dłoń na piersi Johnny'ego. Przywołując na ratunek resztki rozumu, zdołała pomyśleć, że jeśli ulegnie pierwotnym instynktom, będzie stracona. Nieodwołalnie.

- Chodźmy popatrzeć na tańce - wykrztusiła.

Równie dobrze, bardzo podobnie brzmiącym, zdławionym głosem mogłaby powiedzieć: „rozbiierzmy się”. Łatwiej było zdjąć dłoń z piersi Lonebeara, niż uwolnić się spod wpływu jego magnetycznego spojrzenia.

- Tańce, powiadasz? - zapytał Johnny z lekką kpina w głosie. - Pióropusze, malowane twarze, egzotyka, te rzeczy, tak?

Annie rada, że napięcie zostało rozładowane i groźny moment minął, nawet się nie obraziła za przytyk zawarty w słowach Lonebeara. Wiedziała, tyle przynajmniej здаwała się wiedzieć, że tańce są najważniejszym elementem pow-wow. Niezupełnie, jak się okazało. Gdy szli ku arenie, Johnny zaczął jej wyjaśniać, że najważniejsze jest kultywowanie tradycji i to, że to właśnie umiłowanie tradycji przyciąga ludzi z całego kraju na podobne uroczystości.

Pow-wow to okazja do spotkania rozgałęzionych rodzin, ba, całych klanów, to możliwość potwierdzenia własnej tożsamości. Johnny co chwilę przystawał, z kimś się witał, zamieniał kilka serdecznych słów. Annie była mile zaskoczona, że nikt nie dał jej odczuć, iż mogłaby być niepożądanym intruzem. Przeciwnie, wszyscy sprawiali wrażenie uszczęśliwionych, że mogą pokazać coś ze swojej kultury obcym.

Bo też na festynie było mnóstwo turystów i gości, jak Annie ciekawych nieznanego świata.

Johnny mówił, że według ostatniego spisu rezerwat Wind River liczy około piętnastu tysięcy mieszkańców, na co odparła, że chyba wszyscy pojawili się na pow-wow. Skrzywił się na tę uwagę, ale tak naprawdę zachwył Annie był zaraźliwy. Wszystkim się entuzjazmowała, wszystkiemu przyglądała z zapartym tchem; zupełnie niepotrzebnie się obawiał, że odniesie się z protekcjo-

nalną wyższością do *rzeczy*, które były tak drogie jego sercu.

W pewnym momencie z tłumu wyłoniła się Zorza ubrana w przepiękną skórzaną tunikę naszywaną koralikami i ozdobioną wilczymi kłami, strój tak pięknej roboty, że z powodzeniem mógłby się znaleźć na ekspozycji w muzeum etnograficznym. Nawet powinien, bo, jak poinformowała Annie Zorza, należał jeszcze do jej prababki.

Chociaż Annie powtarzała sobie, że nie będzie się angażować emocjonalnie w sprawy swoich uczniów, ciepło się jej zrobiło na sercu, kiedy zobaczyła Zorzę, a gdy dziewczyna nieśmiało zapytała, czy Annie zechce obejrzeć konkurs tańca, w którym miała wziąć udział, z radością przyjęła zaproszenie.

- Za nic nie przepuściłabym takiej okazji - powiedziała tonem, w którym nie było nic ze zdawkowej uprzejmości.

Zorza uśmiechnęła się na to, rozpromieniła, jej twarz rozjaśnił jakiś płynący z wnętrza blask. Kiedy odeszła, żeby przyłączyć się do reszty tancerek, Annie głośno wyraziła zdumienie: jak to możliwe, żeby taka piękna dziewczyna nie zdawała sobie sprawy ze swojej urody.

- Tylko nie próbuj przewracać jej w głowie - ostudził ją Johnny, powtarzając słowo w słowo ostrzeżenia siostry.

Obydwoje wierzyli, jak ich przodkowie, że dary, które człowiek otrzymuje przy narodzeniu, nie należą do niego,

ale do całego plemienia. Chociaż fuknął na Annie, sam puchł z dumy, patrząc, jak Zorza wchodzi na arenę.

Konferansjer zapowiedział konkurs tańca. Większość dziewcząt miała po kilkanaście lat, ale było wśród nich kilka znacznie młodszych, witanych głośnymi oklaskami publiczności. Rozległy się pierwsze dźwięki bębnów, rytmiczne, z każdą chwilą coraz szybsze i donośniejsze. Annie patrzyła na występ zauroczona, zahipnotyzowana widokiem i muzyką.

Zorza od pierwszych taktów zapamiętała się w tańcu, poruszała się z nieopisanym wdziękiem, lekko, jakby jej ciało nie podlegało sile ciężenia. Dla Annie pokaz skończył się zbyt szybko, mogłaby bez końca podziwiać wirujące na arenie tancerki. Kiedy zbiegły z areny, niby odlatujące kolorowe motyle, miała łzy w oczach, tak głębokie było doznanie, które jej podarowały swoim występem.

Przenikliwe spojrzenie Johnny'ego zupełnie ją rozbroiło, odarło ze zwykłej rezerwy, sprawiło, że poczuła się naga i bezbronna.

Nachylił się ku Annie, jakby chciał zawierzyć jej jakiś sekret, szepnąć coś do ucha. Chłodny oddech na skórze, niczym pieszczota... Westchnęła i przymknęła oczy. Pośród tłumów bawiących się na pow-wow byli zupełnie sami, tylko oni jedni na całym bożym świecie, we dwoje.

- Hej, pani profesorko, mam z tobą do pomówienia
- zgrzytliwy kobiecy głos sprowadził Annie z powrotem na ziemię.

Johnny podjął natychmiast taktyczną decyzję: wycofać się, zanim przeciwnik przejdzie do natarcia.

- Nie teraz, siostrzyczko - syknął, chwycił Annie za łokieć i pociągnął ku arenie, poza pole rażenia.

- Ja nie potrafię tańczyć do tej muzyki - powiedziała Annie, myśląc, że teraz będzie już wiedziała, co to znaczy znaleźć się między młotem i kowadłem.

Była pewna, że jej udział w pow-wow ograniczy się do roli obserwatora. Nie chciała robić z siebie idiotki na oczach tłumu ludzi. A z matką Zorzy i tak prędzej czy później będzie musiało dojść do konfrontacji. Uniki nic tu nie mogły pomóc, tym bardziej że Annie nie czuła się niczemu winna i nie miała za co przepraszać Ester.

Johnny widział to inaczej. Nie chciał, by cokolwiek zakłóciło świąteczny nastrój i wolał uciec przed swoją wojowniczo usposobioną siostrą.

- Nie bój się - uspokoił speszoną partnerkę. - Wystarczy, żebyś naśladowała moje ruchy i wszystko będzie dobrze. Szybko złapiesz rytm.

Spróbuję, powiedziała sobie w duchu. Zrobię, co w mojej w mocy, żeby nie przynieść mu wstydu.

Zaczęli tańczyć i po chwili rzeczywiście powolny rytm wybijany na bębnach zawładnął jej ciałem, przeniknął w głąb duszy, obudził w sercu dawno zapomnianą pieśń.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Jak na takiego wielkoluda Lonebear tańczył zdumiewająco lekko. Tak lekko, że Annie przy nim czuła się, jakby miała stopy z ołowiu. Wciągnął ją do rosnącego z każdą chwilą roztańczonego koła i zaczęli poruszać się w rytm muzyki. Oczarowana popisem Lonebeara Annie nie zwracała uwagi na innych tancerzy, w ogóle ich nie widziała, nie dostrzegała ich barwnych strojów, nie mogła docenić ich kunsztu. Utkwiła spojrzenie w swoim wspaiałym partnerze, który zdawał się namawiać ją bezgłośnie, by porzuciła zahamowania i po prostu dała się ponieść muzyce.

W pewnym momencie, zupełnie nieoczekiwanie, Johnny objął ją i przytulił do piersi. Serce zaczęło jej bić jak oszalałe i już nie wiedziała, czy to puls tętni jej w uszach, czy słyszy coraz szybsze i szybsze dudnienie bębnów. Przed oczami migały, wirowały, przemykały smugi żywych kolorów: purpurowe, turkusowe, różowe, czerwone, pomarańczowe.

Lonebear odgarnął Annie kosmyk włosów opadający na oczy, nachylił się i szepnął:

- Jeśli chcesz, mogę zwolnić tempo. - Musnął lekko

wargami jej ucho, tak że pomimo upału poczuła gęsia skórkę.

Ich ciała tak doskonale pasowały do siebie, że powolny taniec w ramionach Lonebeara musiałby się zamienić w publiczną torturę. Miała ochotę go pocałować, ale szybko poniechała tej szalonej myśli, relegując ją w rejony czystej fantazji: nigdy nie zdobyłaby się na podobną śmiałość.

- Nie jestem wcale pewna, czy chcę - powiedziała z westchnieniem, skierowanym bardziej do własnego ciała, nad którym najwyraźniej przestała panować, niż do sprawcy tych niezwykłych reakcji.

Oczywiście chętnie pozwoliłaby obejmować się Johnny'emu, w jego ramionach było jej dobrze i bezpiecznie, ale taki styl tańca tutaj, na pow-wow, byłby oznaką braku szacunku dla uświęconych zwyczajem form i dla reszty bawiących się. Nie mówiąc już o tym, że nie chciała robić z siebie widowiska i wystawiać na pokusy, przed którymi nie potrafiła się bronić.

- Jak chcesz - skwitował jej mglistą odmowę Johnny.

Błysnął zębami w szerokim uśmiechu, chwycił ją w tali, uniósł jak piórko i okręcił kilka razy. Kiedy postawił ją z powrotem na ziemi, nie mogła złapać tchu, kręciło się jej w głowie. Nie od gwałtownego wirowania, tego była pewna: to sam Johnny przyprawiał ją o zawroty głowy, jego bliskość zaburzała poczucie równowagi. Wydał głośny okrzyk, raczej radosny niż groźny i zaczął wirować już sam, zataczając małe kręgi. Annie stała bez

ruchu i przyglądała się z nabożnym niemal podziwem skomplikowanym, bliskim akrobacji układom tanecznym, które wykonywał. W zwykłych džinsach, džinsowej koszuli on jeden wyróżniał się z barwnego tłumu: miał taniec we krwi.

To, co widziała, głęboko ją poruszało, sięgało do samego jądra jestestwa, ożywiało ducha zamieszkującego w podświadomości. W drodze do Washakie Johnny opowiadał jej, że taniec inspirowany jest snami, rodzi się ze snów, z naśladowania ruchów dzikich zwierząt, z opowieści przekazywanych z pokolenia na pokolenie. Taniec jest historią, mitem, kroniką walecznych czynów, nawiązaniem kontaktu z duchami i własną duszą: taniec jest wszystkim.

Patrzyła zahipnotyzowana, jak Johnny w ułamku sekundy przeistacza się oto w myśliwego tropiącego zwierzynę, jak się przyczaja w wysokich trawach, jak się podkrada...

To ona była zwierzyną, na nią polował. Przejmowało ją to lękiem i przyprawiało o dreszcz podniecenia.

Johnny wyjaśnił jej, że każdy rodzaj tańca miał charakterystyczne dla siebie układy kroków, każdy też wymagał innego stroju. Ucieszyła się, kiedy konferansjer poprosił, by tancerze przerwali indywidualne popisy i połączyli się w koło. Nieważne były już kostiumy, nieważna tożsamość kulturowa, wiek, rasa, umiejętności taneczne, wszyscy mieli bawić się i cieszyć razem.

Johnny wziął Annie za rękę i wciągnął do ogromnego,

tworzącego się właśnie koła. Coraz więcej ludzi napływało ze wszystkich stron na arenę. Mała, może dziesięcioletnia dziewczynka uśmiechnęła się do Annie i chwyciła jej wolną dłoń. Była w sukience ozdobionej mnóstwem dzwoneczków z cienkiej blachy, a każdy dzwoneczek, o ile Annie mogła się zorientować, symbolizował inny dzień roku. Kiedy mała się poruszała, dzwoneczki wydawały ciche, delikatne dźwięki. Po drugiej ręce dziewczynka miała starą, dumnie niczym królowa wyprostowaną kobietę, chyba babkę, w sukni z czarnego aksamitu.

Dokładnie naprzeciwko Annie zajął miejsce w tanecznym kręgu chłopak z wymalowaną żółtą gwiazdą nad lewym okiem. Skórzane bluzy i spódnice z frędzlami, pyszne pióropusze na głowach, wyszywane koralikami miękkie mokasyny: feeria barw i dźwięków. Z sześciu młodych ludzi grających na ogromnym bębnie tylko czterech ubranych było w pełne stroje plemienne - Annie przypuszczała, że będą brać udział w kolejnym konkursie tańca - dwóch pozostałych miało na sobie T-shirty. Kobieta, która wygrała konkurs śpiewaczy, zaintonowała starą pieśń.

Annie nigdy jeszcze nie brała udziału w tak pięknym święcie, nigdy nie była tak blisko sacrum, jak tego dnia.

- Dobrze się bawisz? - zagadnął Johnny.

Skinęła głową. Tak, z całą pewnością bawiła się dobrze. Cudownie. Chyba wreszcie zrozumiała, czym jest czysta, niezmacona niczym radość. Człowiek musiałby

być w bardzo głębokiej depresji, żeby pozostać obojętnym wobec tej celebracji życia, jaką było pow-wow.

Kolorowy korowód w pewnym momencie rozerwał się, tańczący unieśli ręce, wpuszczając do środka plemienną starszyznę. Bębny raptownie zamilkły i już tylko pieśń wyznaczała rytm tańca.

Kolejne okrażenie, jeszcze jedno i jeszcze... Na arenie wzbiał się taki kurz, że prowadzący, który przedstawił się jako Śmigły Jastrząb, zmuszony był w końcu zarządzić przerwę. Zanim jednak oficjalnie ją ogłosił, przywitał specjalnych, jak ich określił, gości. Zaczął od najmłodszej uczestniczki pow-wow, własnej bratanicy, małej Cheyenne o szczerbatym uśmiechu.

Johnny zaczął się kręcić niespokojnie. Zapytał Annie, czy chce, żeby kupił jej coś do picia, zanim przed budkami z zimnymi napojami uformują się długie kolejki.

- Teraz? - zdziwiła się. - Kiedy prowadzący przedstawia ważnych gości? Obraziłabym go. - Tu lekko trąciła Lonebeara łokciem w bok, nakazując mu, by siedział spokojnie.

Ten westchnął z rezygnacją, a Śmigły Jastrząb mówił dalej, kadencja zdań podnosiła się i opadała, przechodziła w melodeklamację. Śmigły Jastrząb mówił o patriotyzmie, o umiłowaniu ojczyzny... Zważywszy, jak straszną opresję przeżywali rdzenni Amerykanie przez wieki, Annie była pełna podziwu i dla niego, i dla żywej reakcji tłumu.

- Chciałbym teraz przywitać weteranów wojennych

- ciągnął. - Czy ci, którzy walczyli pod sztandarem naszego kraju, zechcieliby teraz wstać?

Podnieśli się żołnierze drugiej wojny światowej, wstali ze swoich miejsc uczestnicy wojen w Korei, Wietnamie i w Zatoce, wreszcie najmłodszy, którzy niedawno powrócili do domów z Afganistanu. Gdyby Johnny'ego ktoś z przyjaciół siłą nie zmusił do powstania, Annie nie wiadomo, czy i on zaangażowany był w amerykańskie operacje militarne na świecie.

- Oto mój serdeczny przyjaciel - przedstawił go zgromadzonym Śmigły Jastrząb. - Niech was nie zwiedzie jego skromność. Ten człowiek skończył służbę dla kraju z rzędem medali na piersi. Niektórzy mówią, że dlatego jest mężny i dzielny, bo w jego żyłach płynie krew wielkich wojowników, naszych przodków. Inni nazywają go Szalonym Koniem, ale w armii miał przydomek Wariat, po prostu.

Gromki śmiech zachęcił Śmigłego Jastrzębia do dalszych żartów. Najwyraźniej świetnie się bawił, pokpiwając sobie z przyjaciela. Johnny przyjmował przemowę Jastrzębia z uśmiechem. Kręcił tylko głową, ręce podniósł do góry na znak, że się poddaje.

- Widzieliście na pewno, jak tańczył przed chwilą. Otóż musicie wiedzieć, że kontynuuje swoim tańcem długą tradycję wielu pokoleń „wilków”. Tym, którzy nie rozumieją, o czym mówię, wytłumaczę. W dawnych czasach wilczy tancerze, nieustraszeni wojownicy, przewodzili swoim ludziom, gdy plemię przenosiło się z miejsca

na miejsce. Oklaski dla Johnny'ego Lonebeara, współczesnego wojownika, który wrócił do domu ze Szkarłatnym Sercem. Wrócił, bo pragnął przewodzić młodemu pokoleniu. Johnny uczy nasze dzieci obierać nowe drogi i nie zapominać o przeszłości.

Annie tak się zdumiała, że omal nie zapomniała o oklaskach. Jewell mówiła jej, co prawda, że Johnny nie tylko uważany jest za najlepszą partię w całym rezerwacie, ale cieszy się też powszechnym szacunkiem. Zapomniała tylko dodać, że uchodzi za bohatera. Prosty olbrzym wilkołak przeobrażał się na oczach Annie w całkiem złożoną postać.

- Jestem pod wrażeniem - szepnęła, kiedy pozwoliło mu w końcu usiąść.

Nieartykułowany pomruk, który wydobył z siebie w odpowiedzi, jasno wskazywał, że Johnny nie zamierza podejmować tematu.

- Nie masz już dosyć na dzisiaj? - burknął. Jego wcześniejszy dobry nastrój gdzieś się ulotnił.

Annie w przeciwieństwie do Lonebeara czuła się wspaniale i nie chciała nawet myśleć o opuszczeniu pow-wow, ale uznała, że przez grzeczność winna okazać wzgląd na jego uczucia.

- Chciałbyś już wracać do domu?

- Owszem, możemy jechać. Jeśli uważasz, że zebrałaś już dość inspiracji do swojego witrażu - zreflektował się po chwili.

- Dość choćby i do tuzina następnych. - W błękit-

nych jak niebo nad jej głową oczach Annie zabłyśły wesołe iskierki.

- Przykro mi, że cię poganiam, ale mam już dość. Doceniam uznanie, ale tak już jest, że każda wzmianka o armii budzi koszmarnie wspomnienia, o których wolałbym zapomnieć.

- Tak, wspomnienia długo potrafią sprawiać ból - przytaknęła ze współczuciem, trochę zaskoczona, że Lonebear dopuszcza ją do konfidencji.

Johnny założył ręce na piersi.

- Unikam rozmów o przeszłości - oznajmił kategorycznym tonem.

Mając jeszcze w pamięci atak przypuszczony przez Ester i jej pretensje, że nowa nauczycielka wtrąca się w cudze sprawy, Annie nie chciała naruszać prywatności Johnny'ego. Wyraźniej już nie mógł powiedzieć, że tego właśnie sobie życzy.

- W porządku.

Nie mógł wiedzieć, bo i skąd, że mogłaby powiedzieć to samo o sobie i o własnych wspomnieniach. Też unikała rozmów o przeszłości, nie chciała wracać do wspomnień.

- Im mniej człowiek mówi o minionych sprawach, tym lepiej - dodał jeszcze Lonebear.

Annie, jako osoba zajmująca się profesjonalnie terapią, była wręcz przeciwnego zdania, ale uznała, że lepiej zrobi, zostawiając uwagę Johnny'ego bez komentarza. Nigdy nie zmuszała nikogo, by wyjawiał swoje problemy.

Czekała. Taka potrzeba w każdym człowieku musi zrodzić się sama, przychodzi w sposób naturalny. Pewnego dnia Johnny zapewne też ją poczuje. Pomyślała, że jej już wtedy prawdopodobnie od dawna nie będzie w rezerwacie, i zrobiło się jej smutno.

- Spiekłaś się na raka, blada twarzy - zauważył Johnny, kiedy kupowali wodę mineralną na drogę.

- To dobrze. Będę teraz czerwonoskóra - zażartowała w odpowiedzi, chociaż kusiło ją, żeby powiedzieć: „nie spiekłam się, tylko płonę”, ale wolała igrać ze słowami niż z własnymi emocjami. Te ostatnie, sądząc po gwałtownych reakcjach, jakie ostatnio u siebie obserwowała, mogły przyczynić jej poważnych kłopotów.

Obiecywała sobie zachowywać dystans, pozostać neutralnym obserwatorem, nie narażać się krewkiej Ester, a już przede wszystkim nie angażować się w prywatne relacje z szefem, tymczasem jej ciało z uporem odmawiało współpracy, pozostawało głuche na wysyłane przez rozum sygnały alarmowe. Bo też kiedy w pobliżu pojawiał się Lonebear, biedny rozum stawał się zupełnie bezradny wobec zmysłów.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Od czasów pierwszej randki, jeszcze w szkole średniej, Annie nie czuła się tak onieśmielona w obecności przedstawiciela płci przeciwnej, jak przy Johnnym. Od tamtej chwili minęło wiele lat, ale jeszcze dzisiaj pamiętała, jak okropnie się speszyła, kiedy chłopak dotknął jej dłoni.

A pierwszy pocałunek? Czekała na niego niecierpliwie, po czym przeżyła gehennę. Okropność. Od koleżanek nasłuchiwała się pełnych zachwyty opowieści o tym niezwykłym doznaniu i srodze się rozczarowała w swoich dziewczynskich oczekiwaniach. Amant miał spierzchnięte wargi i cały czas z uporem majstrował przy jej staniku. Wyskoczyła z samochodu, młodzieniec na tę okazję pożyczył wóz od ojca, ile sił w nogach pognęła do domu, zaszyła się w swojej sypialni i utonęła w łzach.

Wspomnienie fatalnej randki jeszcze bardziej ją zdeprymowało. Wprawdzie nie miała szesnastu lat, a Johnny nie był niedowarzoną wyrostkiem, który chwaliłby się kolegom w poniedziałek na długiej przerwie swoimi weekendowymi sukcesami. Nie, obydwójce byli dojrzałymi i to, co się między nimi działo, też było całkiem dojrzałe. Dojrzałe niż jakiegokolwiek doznanie, którego Annie do-

świadczyła wcześniej. Pragnęła Lonebeara i było to zupełnie naturalne: wodospad na rzece może zachwycać, może przerażać, ale jest czymś najbardziej naturalnym w świecie.

Jak, na przykład, Niagara.

Zmierzała prosto ku Niagarze. Miała płynąć pod prąd? Jak? Dziki żywioł w każdej chwili mógł ją unicestwić.

Samochód podskoczył na wykrocie i Annie rzuciło do przodu. Prawą dłonią oparła się o przednią szybę, ratując głowę przed stłuczeniem, lewa wylądowała na udzie Lonebeara. Kiedy zdała sobie sprawę, co zrobiła, krew uderzyła jej do głowy. Zdażyła jeszcze poczuć pod palcami napięty mięsień i cofnęła rękę, jakby dotknęła rozpalonego żelaza.

- Przepraszam - wykrztusiła.

- Nic nie szkodzi - powiedział Johnny z kurtuazją, pod którą kryło się rozbawienie. - To było bardzo miłe.

Annie nic nie odpowiedziała. Zła na siebie, zakłopotana, zaczęła poniewczasie zapinać pas. Nigdy nie umiała flirtować, miała natomiast wszelkie podstawy podejrzewać, że flirt z Lonebearem nie byłby wcale niewinny. Powinna coś zrobić, żeby rozładować atmosferę ciężką od seksualnych podtekstów. Przygryzła nerwowo wargę - zwyczaj, który został jej z dzieciństwa i którego nigdy nie zdołała się pozbyć - i po chwili niezręcznego milczenia podjęła tak zwaną towarzyską pogawędkę.

Niewiele to pomogło, bo Lonebear wszystkie jej wysiłki kwitował lakonicznymi i ciętymi odpowiedziami,

ona natomiast co chwila rzucała w jego stronę ukradkowe spojrzenia; nie mogła się powstrzymać.

Wygląda jak upadły anioł, oto do jakiego wniosku doszła w efekcie swoich pokątnych badań. Tajemnicze oczy i wyraziste rysy nadawały mu wygląd osobnika zgoła groźnego, stanowił ostrzeżenie dla każdej kobiety, która chciałaby oswoić dzikie serce Lonebeara i wydobyć z niego dobre cechy. Zatopiona w refleksjach nie zauważyła nawet, kiedy dotarli pod dom Jewell. Johnny wyłączył silnik, otworzył drzwi i uparł się, by odprowadzić ją do mieszkania.

Całą drogę zachowywał się nadzwyczaj poprawnie, można rzec powściągliwie, co nie przeszkodziło Annie puścić wodze fantazji: roiła sobie, że Lonebear zjedzie w jakimś momencie na pobocze albo skręci do lasu i rzuci się na nią niczym zgłodniały drapieżnik. Ponieważ były to tylko fantazje, jej alter ego w tych fantazjach zbytnio się nie opierało.

Coś jej mówiło, że Lonebear nie jest typem faceta, który zadowolony jest przyjacielskim cmoknięciem w policzek na do widzenia. Z kolei zaproszenie go na poże-gnalnego drinka byłoby tym samym co otwarcie szeroko drzwi i wpuszczenie do domu kłopotów.

Johnny przyglądał się, jak długo szuka w torebce kluczy, a kiedy wreszcie je znalazła, oświadczył:

- Zaproś mnie do środka, na wszelki wypadek. Kto wie, czy nie załęgła ci się w domu banda pijanych Indian, którzy Bóg wie jak zareagują, kiedy zobaczą białą kobietę.

Zabolał ją ten przytyk. Lonebear nie potrafił zrozumieć, dlaczego zamykała drzwi na klucz. Insynuował, że robi to ze strachu przed „dzikimi czerwonoskórymi”. Gdyby, jak ona, mieszkał całe życie w wielkim mieście, nabrałby tych samych przyzwyczajęń. Nie musiał z niej drwić. Spojrzała na niego z ukosa. Nie zdecydowała jeszcze, czy go zaprosi, a nie lubiła, kiedy ktoś jej dyktował, co ma robić.

- Jesteś taki sam, jak twoja siostra - wycelowała w niego klucz w oskarżycielskim geście. - Masz mnie za białą idiotkę, która dla kaprysu zainteresowała się niższym gatunkiem człekokształtnych, w dodatku na ich widok umiera ze strachu.

Johnny podniósł dłonie na znak kapitulacji. Żałował teraz swojej złośliwości wobec Annie: w jej oczach pojawiła się czujność. Z jego winy. Z drugiej strony miał ochotę jej powiedzieć, że mocno wątpi, by przy takich reakcjach na każdy przytyk potrafiła czegokolwiek nauczyć dzieciaki w rezerwacie. Poczucie humoru było tu wszystkim, bronią doskonalszą i wspanialszą niż niegdysiejszy łuk i strzały. Człowiek, który nie potrafi śmiać się sam z siebie, spisuje się na straty: popada w depresję, w alkoholizm albo w narkotyki. Bez poczucia humoru żyć się nie da.

Wyjął Annie klucz z dłoni i włożył do dawno nieużywanego zamka. Od razu też nasunęło mu się skojarzenie. On też od dawna nie „używał” swojego ciała, żył w celibacie i teraz w tymże celibacie upatrywał przyczy-

ny niekontrolowanych reakcji, jakie w nieużywanym cie-
le wywoływała bliskość jasnowłosej kobiety. Zaspokoi-
wszy pożądanie, odzyskałby równowagę i życie znowu
wróciłoby do normy. Proste? Niekoniecznie. Z Annie
Wainwright nic nie było proste.

Oporny zamek ustąpił i oczom Johnny'ego ukazało
się schludne wnętrze, które nic nie mówiło o nowej lo-
katorce. Jakby tu nie mieszkała, jakby nie śmiała w żaden
sposób zaznaczyć swojej obecności w domu Jewell.

- Wejdiesz na drinka? - zapytała z wyraźnym wa-
haniem w głosie.

Zirytowała go ta nuta.

- Nie boisz się, że po jednej szklaneczce zamienię
się w pijanego Indianina z waszych stereotypowych wy-
obrażeń? Jednego z tych, przed którymi zamykasz drzwi
na klucz?

- Nie boję się stereotypów - odpowiedziała lodowa-
to. - Oprócz jednego, który w każdym moim słowie każe
ci tropić uprzedzenia rasowe. Mam już serdecznie dość
twoich złościwości.

Johnny nie potrzebował psychoanalityka, by wiedzieć,
że jest przewrażliwiony, dopatruje się uprzedzeń raso-
wych tam, gdzie ich nie ma, i potrafi atakować ludzi,
którzy nic mu nie zawinili. Wszystko to wiedział, a jed-
nak nie mógł pozbyć się podejrzeń, czy aby Annie nie
traktuje ludzi w rezerwacie jak swoich „mniejszych bra-
ci”, nad którymi łaskawie się pochyla. Ciągłe brzmiały
mu w uszach gorzkie słowa Ester o rozmaitych „dobro-

dziejach" i „dobroczyńcach" chcących na siłę uszczęśliwić niedobitki indiańskich plemion. Tak czy inaczej nieufność pozostawała i Johnny czuł, że się jej nie pozbędzie, dopóki lepiej nie pozna Annie.

- Rozumiem - mruknął, uznając temat za zamknięty. Na razie. - Dla mnie whisky z colą, jeśli można.

Annie uśmiechnęła się promiennie, jakby nic między nimi nie zaszło. Ona też nie zamierzała kontynuować kłótni.

- Muszę sprawdzić, co mam. - Dopiero teraz uświadomiła sobie, że od przyjazdu nie zajrzała do barku Jewell.

Kiedy krzątała się w kuchni, Lonebear rozejrzył się po bawialni, szukając czegoś, co mogłoby należeć do Annie Wainwright i co jakoś przybliżyłoby mu jej osobę. Na stoliku obok kanapy leżała sterta katalogów wystaw i książek poświęconych witrażownictwu, na ławie portfolio z dokumentacją prac Annie. Johnny otworzył je i zaczął przerzucać kartki. To, co zobaczył, zrobiło na nim wrażenie, ale ani trochę nie wzbogaciło jego wiedzy na temat nowej nauczycielki.

Zdjęcia na kominku zdawały się więcej obiecywać. Jedno przedstawiało uśmiechniętą, znacznie młodszą Annie w otoczeniu, jak się domyślał, rodziców i rodzeństwa. Obok stał niewielki portrecik w kosztownej, srebrnej ramce, z którego spoglądał na widza wyjątkowej urody bobas. Dziwiła tylko jego wyjątkowo ciemna karnacja. Jeśli należał do najbliższej rodziny Annie, to albo został adoptowany, albo był dzieckiem z mieszanego małżeństwa.

Dochodzenie przerwał powrót Annie. Kiedy zobaczyła zdjęcie w dłoni Lonebeara, przez jej twarz przemknął bolesny grymas. Jakby Johnny zbeczczył świętość.

Albo zakłócił spokój zmarłego.

Natychmiast odstawił fotografię na miejsce i usiadł na kanapie. Czekał na jakieś słowo wyjaśnienia, ale Annie milczała.

Upiła haust ze swojej szklanki; zdecydowanie za słaby był ten drink, żeby mogła się rozluźnić i zapomnieć o zdenerwowaniu wywoływanym bliskością Lonebeara. Tak, była zdenerwowana. I rozgorączkowana. Wątpliwe, by lekka, błyskotliwa konwersacja mogła rozładować napięcie. Tym bardziej że Annie w żadnej mierze nie czuła się na siłach prowadzić teraz lekkiej i błyskotliwej konwersacji. Miała kompletną pustkę w głowie, a na pomoc Johnny'ego nie mogła liczyć: nie należał do ludzi uprawiających salonowe pustostłowie.

- Jak myślisz, dokąd my właściwie zmierzamy? - zapytał wprost.

Annie przestała oddychać. Nawet nie dlatego, że sama sobie zadawała od rana to samo pytanie. Nie, zaszokowała ją odpowiedź, na szczęście niewypowiedziana, która nasunęła się jej natychmiast, zupełnie bezwiednie.

„Do mojego łóżka”, oto co jej przyszło do głowy.

Odstawiła swój drink.

- Nie wiem - powiedziała, usiłując zapomnieć o pierwszym skojarzeniu.

- A ja wiem, moja wietrzna tancerko. - Lonebear

owinał sobie kosmyk włosów Annie wokół palca. - I wcale nie jestem pewien, czy jesteś gotowa na tę wyprawę.

Annie zaparło dech w piersiach. Zahipnotyzowana, nie potrafiła oderwać oczu od twarzy Lonebeara. Miała wrażenie, że wyprawa, o której mówił, miała być wyprawą w głąb jego duszy. Patrzył na nią tak, jakby ją zapraszał, by uczyniła pierwszy krok w nieznaną i, wbrew temu, co mówił, była gotowa podjąć wyzwanie. Ostrożnie uniosła dłoń i dotknęła jego gęstej, miękkiej czupryny.

—
Johnny zrobił to samo: zanurzył palce w jej włosach. Z gardła Annie dobył się cichy dźwięk, na poły jęk, na poły głośne westchnienie tęsknoty płynące gdzieś z samych trzewi. Jeszcze nigdy nikogo nie pożałowała tak bardzo, tak boleśnie.

- Mylisz się - szepnęła ochrypłym głosem.

Lonebear natychmiast cofnął rękę: źle zrozumiał jej słowa.

- Jestem gotowa - wyjaśniła.

Ku swemu zdumieniu nie zabrzmiało to nieporadnie czy żałośnie. Nie, usłyszała głos kobiety, która nie czuje lęku, nie broni się i dokładnie wie, czego chce.

Johnny'emu to wystarczyło: nachylił się i zaczął pieścić wargami jej szyję. Annie przeszedł dreszcz, wstrząsnął całym ciałem. Miała tyle złych wspomnień, tak fatalnie układało się jej dotychczasowe życie, że nie przypuszczała, że może jeszcze odczuwać cokolwiek, prze-

żyć coś tak intensywnie, tak żywo i głęboko. Gdyby miała opisać pocałunek Johnny'ego, z całą pewnością nie znalazłaby odpowiednich słów. Świat wokół nagle zniknął, po prostu przestał istnieć, a w miejsce rozsądnej, zawsze racjonalnej Annie Wainwright pojawiła się wspaiała, zmysłowa istota, która nie analizuje, nie zastanawia się, nie waży w myślach zysków i strat, zanim podejmie ważną, życiową decyzję.

- Jesteś pewna? - zapytał jeszcze Johnny i położył sobie jej dłoń tam, gdzie pożądanie najbardziej daje znać o sobie.

Annie zrobiła wielkie oczy. Nie miała wielkiego doświadczenia seksualnego, ale z tego, co mogła wyczuć, natura szczerze wyposażyła Johnny'ego Lonebeara, na pewno szczerzej, niż któregośkolwiek z jej wcześniejszych kochanków. Nagle przeraziła się, czy aby fizycznie sprosta tak hojnemu wyposażeniu, ale gwałtowne pulsowanie krwi w żyłach zdawało się dawać jej rękojmię, jakby mówiło: sprostasz. Zresztą takie absurdalne wątpliwości nie miały teraz znaczenia, nic nie miało znaczenia, poza przemożnym pragnieniem zespolenia się z Lonebearem.

- Jestem pewna - powiedziała, zamknęła oczy i przyciągnęła głowę Johnny'ego do swojej twarzy, gotowa na pocałunek, który miał odmienić jej życie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Johnny oderwał w końcu wargi od jej ust i wciągnął głęboko powietrze. Spojrzał na Annie zdziwiony, jakby zastanawiał się, gdzie się podziała powściągliwa nauczycielka i jakim sposobem jej miejsce zajęła namiętna, zmysłowa istota.

Błękitne oczy Annie błyszczały pożądaniem. Instynktownie wiedziała, że przekroczyła krytyczny punkt i teraz już nie ma odwrotu. Pogratulowała sobie w duchu, że zdołała się opanować i nie zdarła jeszcze z Lonebeara ubrania. Wprawdzie dom Jewell stał na pustkowiu, ale znając swoje szczęście, Annie mogła przypuszczać, że akurat w takiej chwili pod oknem bawialni pojawiłaby się zapewne wycieczka szkolna. Uwolniła się z ramion Johnny'ego i chciała się podnieść. Tak się jej zakręciło w głowie, że opadła z powrotem na kanapę. Nie miało to nic wspólnego z niskim ciśnieniem krwi.

Czy też ze strachem.

To znaczenie powziętej właśnie decyzji tak ją obezwładniło. Oparła się dłonią o ramię Johnny'ego i poprosiła go o pomoc. Zerwał się natychmiast i pomógł jej wstać. Wzięła go za rękę i poprowadziła do sypialni.

Przekroczywszy próg, Johnny poczuł się tak, jakby znalazł się w innym świecie.

Żółta kapa na łóżku, żółte zasłony... jasne barwy, tak nasycone słońcem, że musiał zmrużyć oczy. Czuł się tu jak intruz, mroczny przedstawiciel sił ciemności, indiańska wersja Dartha Vadera szykująca się do ataku na słodką Pollyannę.

A raczej na Polly-Annie.

Mosiężny zagłówek łóżka rzucał świetliste refleksy na ścianę. Prześwietlone słońcem włosy Annie tworzyły wokół jej głowy złocistą aureolę. Złocące się w słońcu włosy, świetlista skóra, promienne oczy... krótko mówiąc, wyglądała teraz po prostu anielsko.

Johnny zatracił się zupełnie w oczach Annie. Miał wrażenie, że coś w nim pęka; twarda, gruba skorupa, którą odgradzał się od świata, zniknęła i nic już nie dzieliło go od doznań płynących z zewnątrz, tak jak nic nie więziło uczuć drzemiących w duszy. Johnny dawno je stłumił, chciał zapomnieć o ich istnieniu, a już na pewno nie zamierzał ich wskrzeszać. Myśl, że mogłoby mu zażyć na kobiecie, niepokoiła. Bał się angażować. Równie dobrze mógłby rozciąć nożem stare blizny, otworzyć na powrót bolesne rany, których czas dotąd nie zaleczył, znowu narazić się na cierpienie, jakiego raz już doświadczył.

Raptem cofnął się w czasie, stanęły mu przed oczami epizody z przeszłości. Znowu miał na sobie mundur, znowu był zielonym rekrutem oddzielonym od rodzinnego kraju bezmiarem oceanu. Jedyne, co łączyło go z drogim

mu światem, były listy z domu. Zawsze taki list długo trzymał w dłoni, zanim otworzył. Również ten ostatni. Narzeczona, która przyrzekła czekać, która miała wyjść za niego, gdy służba dobiegnie końca, pisała, że poznała innego. Wyrażała nadzieję, że Johnny nie weźmie sobie tego zbyt do serca. Tamten moment na zawsze odcisnął mu się w pamięci, wracał do niego, ilekroć czuł, że znowu ktoś może wystrychnąć go na dudka, zakpić z jego uczuć, sponiewierać.

Jaki był beznadziejnie naiwny, wierząc, że korespondencja jest w stanie podtrzymać więź między nim i ukochaną.

Tyle lat minęło od tamtej chwili, a wspomnienie było nadal tak żywe, że Lonebear gotów był uciec z sypialni Annie, nie wyjaśniając jej nawet powodów swojego odwrotu i nie informując, że wtedy to ślubował sobie, że nigdy już, do końca życia, nie otworzy serca przed żadną kobietą.

Zapomniał o ucieczce, bo oto Annie wzięła ster w swoje ręce. Pchnęła go lekko na łóżko, zrzuciła bluzkę, a kiedy ściągnęła T-shirt, był już jej więźniem.

Kto by przypuszczał, że w niewinnej, zrównoważonej Polly-Annie siedzi pełna temperamentu, gorącokrwista kusicielka, która potrafi wystawić wytrzymałość Johnnynego na najcięższe próby?

A Annie ze swej strony, gdyby nie dostrzegła błysku uznania w jego oczach, pewnie natychmiast przestałaby odgrywać zmysłowego wampa i wróciła do swojego codziennego ja. Ale w Johnnym było coś, co uderzało do głowy niczym mocne wino, oszałamiało niczym narkotyk.

Nigdy nie podejrzewała, że posiada w sobie tyle erotyzmu i że potrafi go uwolnić, uczynić z niego użytek i cieszyć się nim. Zdjęła stanik, pozbyła się dżinsów. Zanim zdążyła się zreflektować, co robi, stała na środku sypialni w samych majteczkach. Mierząc prowokacyjnym spojrzeniem najbardziej seksownego faceta na całej kuli ziemskiej.

Jego cichy zachwyty sprawiał, że czuła się niemal jak bogini. Opuściła skrzyżowane na piersiach ręce, zdjęła ostatnią sztukę bielizny i wsunęła się pod kołdrę.

- Teraz twoja kolej - poinformowała Johnny'ego, opierając się na łokciu.

Rozgorączkowanemu Johnny'emu nie trzeba było dwa razy powtarzać. W przeciwieństwie do niej rozebrał się w mgnieniu oka, coś sobie jeszcze przypomniał, sięgnął do kieszeni rzuconych na podłogę dżinsów. No tak, pomyślała Annie, zła na siebie, że sama nie zatroszczyła się o zabezpieczenia. Najwyraźniej jej umysł wziął rozwód ze zdrowym rozsądkiem.

To wszystko, oczywiście, wina Johnny'ego. Gdyby nie był tak oszałamiająco przystojny i tak wspaniale zbudowany, nie straciłaby głowy. Zupełnie jak grecki posąg, rysowała takie posągi na studiach. Apollo albo bóg wojny, odlany w brązie Ares. I jak przystało na wojownika, ciało Johnny'ego naznaczone było śladami stoczonych walk. Paskudna szrama nad obojczykiem musiała być pozostałością po ranie zadanej nożem. Kilka centymetrów w bok i cios, trafiając w arterię, mógł okazać się śmiertelny. Po-

niżej żeber niewielka, kolista blizna, bodaj po kuli, jak domyślała się Annie. Pytać nie chciała, pamiętała, jak niechętnie Lonebear przyjmował peany na swoją cześć wygłaszane przez Śmigłego Jastrzębia, jak zirytował go aplauz zgotowany przez przyjaciół.

Łzy napłynęły jej do oczu.

Kiedy Johnny podszedł do niej w milczeniu, otworzyła szeroko ramiona.

I serce.

Kilka godzin później obudziła się mocno zdziwiona, co robi o tej porze dnia w łóżku. Nie musiała się długo zastanawiać, bo rozkoszny ból w całym ciele przyniósł odpowiedź na jej pytanie. Przypominał, że nigdy jeszcze nie przeżyła w łóżku czegoś podobnego, a właściwie nieprawdopodobnego. Przeciągnęła się leniwie i uśmiechnęła do Johnny'ego.

Obudził się wcześniej niż Annie i teraz przyglądał się jej, jakby była raczej wrogiem niż najbardziej seksowną istotą, jaką widział w życiu.

- Hej - szepnęła, z trudem dobywając głos z krtani.
- Hej - burknął Johnny: biedak ponieważś próbował się bronić przed urokiem kusicielki.

Zaskoczona taką reakcją przesunęła palcem po jego wargach, ale Johnny, zamiast się uśmiechnąć, cofnął gwałtownie głowę.

Spróbowała się przytulić i tym razem zachował się podobnie: chłód, sztywny dystans były całą odpowiedzią.

Dlaczego ją ignoruje? Skąd ta zmiana? Nic nie rozumiała, ale była zdecydowana dojść przyczyn tego dziwnego stanu rzeczy.

- Co się dzieje? - zapytała.

Dzieje się to, miał ochotę powiedzieć, że cudownie jest trzymać cię w ramionach. Ze przy tobie zaczynam znowu żyć. Że jestem szczęśliwy. I że nie ufam tym cudownym, ulotnym doznaniom.

- Wszystko... - odparł wyczerpująco i zatoczył dłonią wokół w enigmatycznym geście - ułożyło się nie tak - dokończył.

- Och - westchnęła Annie i zabrzmiało to tak, jakby uszło z niej powietrze.

Kiedy Johnny się rozbierał i patrzyła ze smutkiem na jego blizny, jednej, najgorszej, nie dostrzegła: niewidzialnej blizny na sercu.

Pytał ją, czy czuje się gotowa. Powątpiewał, tymczasem okazało się, że to on nie jest gotowy.

- Nie martw się - powiedziała, starając się nadać swojemu głosowi przekonujące brzmienie. - To, że poszliśmy do łóżka, do niczego cię nie zobowiązuje. Jestem dorosła, potrafię zadbać o siebie. Jeśli chcesz udawać, że między nami nic nie zaszło, proszę bardzo, jakoś to zniósę. Dzisiejszy epizod nie będzie miał żadnego wpływu na nasze relacje zawodowe, możesz być pewny.

W uszach Annie deklaracja zabrzmiała całkiem wiarygodnie, ale Johnny nie wydawał się przekonany. Wpa-

trywał się w nią ponurym wzrokiem, jakby to ona zmusiła biedaka do niecnoty wbrew jego własnej woli.

- Nie martwię się - oznajmił Johnny z mocą.

Jasne, nie martwię się, monologował w myślach. Jestem tylko ciekaw, co powiedziałyby rada plemienia, która sprawowała nadzór nad szkołą, gdyby jej członkowie dowiedzieli się, że spiam z jedną z nauczycielek, bądź co bądź, podwładną. Czy uznałyby to za nadużycie stanowiska? Naruszenie stosunków służbowych? A kochana siostrzyczka? Dla niej byłaby to etniczna wersja „Sypiając z wrogiem”, w której, oczywiście, ofiarą byłbym ja, a nie śliczna Annie. Nie wspominając już o takim drobniaku, jak mój głęboki lęk przed zaangażowaniem się w poważny związek, w dodatku z osobą najmniej dla mnie odpowiednią. Która zniknie z mojego życia tak nagle, jak się w nim pojawiła. Niczym tornado.

Mało prawdopodobne, by dziewczyna o anglosaskich korzeniach, pochodząca z klasy średniej i wychowana w wartościach wyznawanych przez tę klasę, do tego wykształcona, zechciała zamieszkać w rezerwacie. Dla niej była to tylko krótka, ekscytująca przygoda etnograficzna. Może to i lepiej. Dzieciństwo bez rodziców, okropności wojny, nieszczęśliwa miłość, to dość jak na jednego człowieka. Nie miał ani siły, ani odwagi myśleć o miłosnych uniesieniach.

- Jakoś nie robisz na mnie wrażenia osoby szukającej przelotnych letnich przygód - zauważył, odrywając wreszcie myśli od własnych problemów.

- Bo nie szukam.

Od sześciu lat tłumaczyła nastolatkom, że powinny się wystrzegać przypadkowych kontaktów seksualnych, napominała, wygłaszała kazania. I co? Sama leży teraz naga w łóżku, obok niemal zupełnie obcego człowieka. I nie czuje najmniejszych wyrzutów sumienia. Nie chodziło chyba nawet o jej wysoko rozwinięte poczucie niezależności i wolności.

Nie, po prostu seks z Johnnym Lonebearem był tak niezwykłym przeżyciem, że nie była w stanie niczego żałować. Tak niezwykłym i niewiarygodnym, że, zaspokojona i nasycona, rozważała możliwość powtórki, by przekonać się, czy naprawdę jest tak świetnie, czy też na jej odczucia miała wpływ długa abstynencja.

- Co dalej? - zapytała.

- Wrócimy do pracy.

- I zostaniemy przyjaciółmi?

Żadna odpowiedź, czy to przecząca, czy twierdząca, nie była tu dobrą odpowiedzią. Trudno o bardziej niezręczną sytuację. Miała wrażenie, że słyszy śmiech starszuszka Freuda. Nie dość, że Johnny Lonebear nawiedzał jej sny, teraz będzie musiała spotykać go codziennie twarzą w twarz w szkole i nie trzeba było psychoanalityka, by wiedzieć, że po dzisiejszych szalonych wyczynach w łóżku nie będzie to łatwe.

- Oczywiście, zostaniemy przyjaciółmi - mruknął Lonebear. - Jakżeby inaczej?

W przeciwieństwie do Annie nie przejmował się chyba

tym, że będą na siebie nieuchronnie wpadać w pracy, tak to przynajmniej wyglądało w oczach Annie. Markotnie pomyślała, że porzucanie jej przychodzi mężczyznom wyjątkowo łatwo. Nie, nie będzie robiła z siebie słodkiej idiotki, nie będzie się odwoływała do poczucia przyzwoitości i honoru Lonebeara. Przestała rozczulać się nad sobą i dumnie podniosła głowę.

I co jej przyszło z ciągłego napominania samej siebie, że nigdy już nie pozwoli sobie na jednorazowy seks?

Tym razem jednak nikt jej do niczego nie zmuszał, Johnny przecież nie nalegał, nie ciągnął jej do łóżka, to ona przejęła inicjatywę, chciała się z nim kochać. Była dorosła i potrafiła przyjąć odrzucenie znacznie spokojniej niż przed laty, kiedy była nastolatką święcie przekonaną, że utrata dziewictwa pociąga za sobą automatycznie propozycję małżeństwa.

Będzie się zachowywała z godnością kobiety świadomej siebie i dojrzałej. Swoją postawą upewni Lonebeara, że nie zamierza mu się narzucać. Jeśli pogłoski powtarzane przez Jewell były prawdziwe, to Johnny musiał mieć całkiem niezłą wprawę w mówieniu „do widzenia” kobietom, z którymi zdarzyło mu się iść do łóżka. A zapewne i dzieci, które przy okazji spłodził. Annie na tę myśl zrobiło się niedobrze, acz jedno musiała mu przyznać: w ostatnim względzie poczynił radykalne postępy, o czym świadczyła zawartość kieszonki w dzinsach, z której to zawartości roztropnie był skorzystał.

Niestety, to on pomyślał o zabezpieczeniu, jej ta ważna rzecz zupełnie wywietrzała z głowy.

- Oczywiście, zostaniemy przyjaciółmi - powtórzyła.

Na zachmurzonym obliczu Lonebeara pojawił się szeroki uśmiech, w oczach zabłyśły wesołe iskierki. Przestał szukać swoich gatek, podniósł wzrok na Annie.

Annie na moment zapomniała o urażonej godności, obudziło się znowu pożądanie, a z nim świadomość, że jest wobec tego człowieka zupełnie bezbronna.

Zamiast rozpatrywać ewentualne konsekwencje seksualnego ożywienia, zajęcie dość bolesne w zaistniałej sytuacji, rzuciła w Lonebeara poduszką.

Atak tak go zaskoczył, że nie zdążył się uchylić.

- Ej! - zawołał urażonym tonem.

Zaprzestał kompletowania porozrzucanej na podłodze garderoby i zbliżył się do Annie, trzymając poduszkę za plecami. Twarz mu pałała żądzą odwetu. Ponura, ciężka atmosfera szczęśliwie prysła, mogli żartować. Annie wykonała szybki, taktyczny obrót i wylądowała na podłodze, ale nie uniknęła kontrataku, bo oto Johnny rzucił się na nią z okrzykiem bardzo przypominającym okrzyki wojenne, o ile Annie znała się na okrzykach wojennych swoich czerwonoskórych braci. Sama też wydała okrzyk: przygwożdżona do podłogi wołała pomocy.

Była najwspanialszą, najcudowniejszą istotą, jaką zdarzyło mu się kiedykolwiek spotkać. Była księżniczką, królową z bajki.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Johnny nie posiadał daru ujmowania swoich odczuć w poetyckie zdania, ale to Annie nie przeszkadzało. Prawdę powiedziawszy, nie ufała zbyt wiele złotoustym poetom. Słodkie zaklęcia, puste słowa nie robiły na niej wrażenia. Woląta tych, którzy mówią wprost, nawet jeśli brzmiało to czasami topornie. Był już w jej życiu jeden złotousty: pozbawił ją dziewictwa, potem odarł z godności. Wystarczy. Szczerść Johnny'ego przemawiała do niej znacznie bardziej niż pełne fałszywych ozdobników oracje.

Choć była z przekonania feministką, opowiadała się za niezależnością, wolnością, swobodą kobiet, nie chciała, by Johnny pomyślał, iż lekko traktuje sprawy łożkowe. Widział w niej osobę z gruntu dobrą, uczciwą i to ją cieszyło, acz wolała nie analizować w tej chwili własnych odczuć. Zajmowała się, co prawda, zawodowo terapią, ale były momenty, kiedy nie ufała swoim umiejętnościom, szczególnie gdy musiała przyjrzeć się własnej osobie. Ciągłe jeszcze wyrzucała sobie błędy, które popełniła w młodości. W każdym razie fakt, że Johnny chciał z nią być, nawet jeśli ich związek z konieczności skazany był

na krótkotrwałość i miał się skończyć wraz z jej wyjazdem z rezerwatu, podnosił Annie na duchu.

Nie zamierzała doszukiwać się w ich znajomości tego, czego tam nie było, przypisywać jej zbyt głębokich znaczeń: gotowa była przyjąć to, co Johnny mógł jej ofiarować. Nie szukał miłości na całe życie, ona też była od tego daleka, w każdym razie na obecnym etapie swojego życia. On nosił w sercu stare rany, jej też los nie oszczędził bolesnych doświadczeń. Nie chciała, żeby ich przygoda odbiła się na jej relacjach z Zorzą albo naraziła Johnny'ego na wyrzuty ze strony wojowniczo usposobionej Ester.

Oczywiście najmądrzej byłoby wycofać się teraz, w najodpowiedniejszym momencie, kiedy mogli jeszcze zostać przyjaciółmi.

Zanim ktokolwiek zostanie zraniony.

Niestety, wszystko wskazywało na to, że na zręczne wycofanie się jest już za późno. Postronny obserwator mógłby wyciągnąć inne wnioski, ale Annie nie była typem krótkodystansowca. Nie potrafiła, ot tak, po prostu pójść do łóżka z pierwszym z brzegu facetem, a takiego seksu, jak z Johnnym, nie przeżyła jeszcze nigdy: najwyraźniej pasowali do siebie niczym dwie połówki jabłka. Potrafiłaby przecież pohamować zwierzęcy instynkt, gdyby Johnny nie budził w niej innych uczuć poza zwykłą żądzą. Kłopot polegał na tym, że naprawdę lubiła tego człowieka.

Fakt, że się z nim przespała, uśmierzył ból, który kazał

jej szukać schronienia i zapomnienia w dalekim Wyoming. Ciagle jeszcze, w najmniej odpowiednich momentach, nawiedzały ją bolesne wspomnienia: widok niemowlęcia w ramionach matki, nastolatka w ciąży, bezlitosny śmiech...

Annie zacisnęła powieki.

Pocałunki Johnny'ego miały cudowną moc: potrafiły zablokować powracające obrazy z przeszłości. W ramionach tego tajemniczego, silnego faceta czuła się pewnie i bezpiecznie, jak jeszcze nie czuła się nigdy i przy nikim. Nic dziwnego, że nie chciała się z nim rozstawać, dopóki nie okaże się to absolutnie konieczne. Wierzyła, że jakimś magicznym sposobem udzieli się jej siła Johnny'ego i że wyjdzie z tego przelotnego związku wzmocniona i pewniejsza swojego miejsca w świecie.

Poczuła jego wargi na powiekach i łzy napłynęły jej do oczu.

- Powiedziałem coś nie tak? - zaniepokoił się.

Jak wielu mężczyzn w takiej sytuacji, wolał wziąć na siebie winę za mimowolny, nie wiadomo jaki lapsus, byle uniknąć sprzeczki.

- Nie - uspokoiła go Annie i uśmiechnęła się blado.

- Nic nie powiedziałeś i nic nie zrobiłeś. O co mogę mieć uzasadnione pretensje, bo przyciskasz mnie do ściany i nie widzę, żebyś chciał wykorzystać swoją pozycję.

W oczach Johnny'ego zabłyśło pożądanie.

- Masz pretensje?

Annie w odpowiedzi poruszyła się zachęcająco. Nie

musiała zbytnio się trudzić, żeby w obojgu na nowo rozbudziła się żądza. Wygięła się i szepnęła jego imię, jakby to była modlitwa. Johnny objął ją, przytulił mocno do siebie.

Zaczęli się znowu kochać, spragnieni siebie, jakby nie kochali się wystarczająco długo i namiętnie tego popołudnia. Tym razem nawet nie pofatygowali się do łóżka.

Praca z Johnnym okazała się łatwiejsza, nastęczała mniej problemów, niż Annie początkowo się obawiała. Jewell mówiła jej, że dla Lonebeara jego zawód jest powołaniem i następne dni w pełni tego dowiodły. Rozkład zajęć nie stwarzał wielu okazji do spotkań, ale Johnny przynajmniej raz dziennie zaglądał do Annie choćby na jedno słowo. Nie było już utarczek i napięcia, jak za pierwszym razem, kiedy to wtargnął na lekcję, próbując podważyć autorytet Annie. Uczniowie chętnie przyjmowali jego wizyty, jako że był powszechnie lubiany i szanowany. Wszyscy chcieli się przed nim pochwalić swoimi postęпами w nauce, imponowało im, że Lonebear, uchodzący w oczach miejscowej społeczności za bohatera, osobiście interesuje się tym, co robią.

- Mówiłam pani, że on jest wielkim, łagodnym miśkiem, trzeba tylko trochę lepiej go poznać - cieszyła się Zorza.

Annie nie potrafiła powstrzymać uśmiechu. W kontaktach z nad wiek dojrzałą siostrzenicą Johnny'ego starała się być tak ostrożna, jak to tylko możliwe. Z podzi-

wem patrzyła na jej prace. Już niedługo dziewczyna powinna sama zrozumieć, że ma ogromny talent, nikt nie będzie musiał jej w tym utwierdzać. Annie miała nadzieję, że kiedy ten przełomowy dzień wreszcie nadejdzie, ona będzie już daleko i nie dosięgną jej gromy ciskane przez Ester, która ani chybi będzie obwiniała wszystkich wokół za to, że jej córka chce rozwinąć skrzydła i wyfrunąć z rezerwatu. Najwdzięczniejszym celem wydawała się oczywiście biała nauczycielka wścibijąca nos w nie swoje sprawy; bo to przecież ona, w przekonaniu Ester, nabijała głowę Zorzy zwariowanymi pomysłami.

Wolałaby uniknąć awantur w wykonaniu Ester, z drugiej jednak strony coraz częściej myślała, że chętnie przedłużyłaby kontrakt z Łowcami Snów. Nie chciała narażać się na przykrości, ale ze smutkiem myślała, że niedługo przyjdzie jej żegnać się z ludźmi, którzy w tak krótkim czasie stali się dla niej tak ważni. Miło byłoby obserwować, jak rozwijają się jej uczniowie, jak dojrzewają, jakich dokonują wyborów. Miło byłoby wspierać te dzieciaki, służyć im radą.

Mieć w pobliżu Johnny'ego, dzielić z nim życie, uczynić z ich związku coś więcej niż letnią przygodę bez większego znaczenia, o której zapomni, zanim opadnie kurz wzniesiony przez opony jej niebieskiego coupe. Pierwszego września wyjedzie, nic już nie będzie jej zatrzymywać w rezerwacie.

Przez ostatnie dziesięć lat bardziej dbała o rozwój

intelektualny niż o swoje potrzeby fizyczne, całe życie podporządkowała intelektowi i teraz zachodziła w głowę, dlaczego tak bardzo, tak strasznie pożąda człowieka zupełnie dla niej nieodpowiedniego. Chociaż kpiła z Johnny'ego, tak naprawdę miała ochotę, żeby między lekcjami zaciągnął ją do szkolnej pakamery. Ilekroć myślała o seksie z nim, jej ciało zaczynało żyć własnym życiem, traciła nad nim kontrolę. Twarz o jasnej zwykle karnacji zaczynała pałać, puls stawał się szybki jak u przerażonego królika. Po raz ostatni tak się rumieniła w szkole średniej, kiedy musiała przemawiać publicznie w czasie zajęć oratorskich, do których zmusiła ją matka.

Wyglądała codziennych wizyt Johnny'ego w jej klasie z niecierpliwością, która mogła zdradzić ich oboje. Przez ostatni miesiąc widywali się tak często, jak tylko czas im pozwalał. Rano, w południe, wieczorem nie przestawała myśleć o Johnnym. Tak ją to pochłaniało, że z trudem mogła skupić się na pracy. W roztargnieniu stłukła niejeden kawałek szkła do witrażu. Zawsze bardzo metodyczna, perfekcjonistka w swojej pracy, irytowała się, że jak tak dalej pójdzie, nie zdoła dokończyć wielkiej kompozycji, którą zamierzała podarować szkole.

Być może podświadomie pragnęła opóźnić jej ukończenie, odwlec moment pożegnania z Johnnym, ale to tłumaczenie irytowało ją jeszcze bardziej niż własne rozkojarzenie i brak najzwyczajszej koordynacji ruchowej. Kiedy ostatni element dzieła znajdzie się na swoim miejscu, przyjdzie pora wyjeżdżać z rezerwatu.

Zupełnie sobie nie wyobrażała, jak dalej potoczy się jej życie. Nie miała żadnych planów, żadnego konkretnego celu. Wiedziała tylko, że rany wreszcie zaczynają się zablizniać i że powoli uwalnia się od przeszłości. Piękno pejzażu, spokój otwartych, bezkresnych przestrzeni, nade wszystko jednak ludzka serdeczność, niosły ukojenie sercu, które na nowo musiało się nauczyć ufności dla innych. Fascynowało ją duchowe bogactwo kultury plemiennej i była wdzięczna Johnny'emu, że ją wprowadził w swój świat.

Była też wdzięczna wszystkim mieszkańcom rezerwatu, że ją zaakceptowali, pozwolili mieszkać u siebie, nie okazywali niechęci.

Wszystko ją interesowało. Jak każdy dobry nauczyciel, Johnny zamiast po prostu odpowiadać na jej niezliczone pytania, pokazywał jej różne aspekty życia w rezerwacie. Gdy chciała się dowiedzieć, jak chrześcijaństwo godzi się z dawnymi wierzeniami Indian, zaproponował wyprawę do miejscowej misji. Postawił tylko jeden warunek: musiała przygotować kosz piknikowy pełen jedzenia dla nich obojga.

Annie z radością zaczęła przygotowywać lunch: upiekła kurczaka, zrobiła sałatkę ziemniaczaną, zapakowała świeże bułeczki, ciastka, butelkę wina, nie zapomniała też o aparacie fotograficznym. Miała nadzieję, że utrwali na zdjęciach nie tylko widoki, ale i trudno uchwytną atmosferę miejsca. Wszystko było pokarmem dla intelektu i wyobraźni artystycznej. Nie pamiętała, kie-

dy czuła się tak szczęśliwa. Jedynym sposobem utrwalenia uczuć, które się w niej budziły, mogła być fotografia. Kupiła więc ogromny zapas filmów i nieustannie fotografowała.

Ciągle musiała sobie powtarzać, że Johnny nic jej nie obiecywał, do niczego się nie zobowiązywał i ich przygoda miała się skończyć z nastaniem jesieni. Rozum przyjmował to do wiadomości, ale serce pozostawało całkowicie głuche wobec napomnień.

Johnny pojawił się po lekcjach, żeby zabrać ją do misji. Uczniowie dawno już poszli do domu, ona jeszcze krzątała się po klasie, chowała narzędzia, porządkowała stół, przy którym pracowała.

- Gotowa? - rozległo się pytanie od progu.

Odwrociła się gwałtownie. Miała ochotę podbiec do niego, rzucić mu się na szyję i wiele wysiłku kosztowało ją, żeby się pohamować. Erotyczne obrazy, które nie dawały jej spokoju przez cały ranek, teraz praktycznie uniemożliwiały zachowanie powściągliwości. Głos Johna rezonował w całym ciele, wprawiał je w dziwną wibrację, jakby ona była gitarą, a on dotykającym strun wirtuozem.

- Prawie - odpowiedziała, siląc się na spokój.

Spojrzała na niego tak, że ugięły się pod nim kolana.

Zatwardziały kawaler pomyślał, jak by też to było, gdyby codziennie po powrocie do domu witało go takie spojrzenie, taki uśmiech. I gromadka piszczących z uciechy na widok taty dzieci... Na tę myśl, która, niepro-

szona, pojawiła się Bóg wie skąd, poczuł ból w piersi. Silniejszy niż ból fizyczny, którego doświadczał ranny na polu bitwy.

Prawie tak dojmujący, jak ból zrodzony z wyrzutów sumienia, który budził go w nocy z koszmarne go snu. W tym śnie usiłował ratować rannego na polu bitwy przyjaciela. Przyjaciel umierał na jego rękach. Niemal co noc.

Nie, stary żołnierz to kiepski materiał na męża, tym bardziej na ojca, powtarzał sobie w duchu, przemagając uczucia, które budziła w nim Annie. Kiedy była blisko, zaczynał tęsknić za rodziną, a przecież dawno sobie powiedział, że nie założy rodziny. Ów feralny list od narzeczonej przesądził o wszystkim, przekreślił nadzieje na przyszłość w momencie, kiedy były one najżywsze.

Człowiek głęboko zawiedziony, w dodatku splamiony krwią w bitwach, nie powinien snuć marzeń o słodkim rodzinnym życiu. Zawiódł, kiedy ranny przyjaciel potrzebował jego pomocy, nie był w stanie mu pomóc. Miał pełne prawo obawiać się, że w podobny sposób może zawieść żonę i dzieci, gdyby zdecydował się na małżeństwo.

Kiedy po zakończeniu służby wrócił do domu i starszyzna plemienna przedstawiła mu projekt założenia szkoły, zaangażował się całym sobą w to przedsięwzięcie. Widział w nim szansę odkupienia dla siebie, pozostawienia świata odrobinę lepszym, niż go zastał. Złożył co prawda broń, ale nadal walczył, teraz toczył walkę o dusze młodych ludzi: chciał ich uchronić od rozpacz y, ratując ich, chciał ratować resztki umiłowanej kultury.

Uważając, że nie nadaje się na ojca rodziny, stał się ojcem całemu pokoleniu, które dopiero wchodziło w życie, szczególnie droгим dzieciom, o których prawdziwi ojcowie zapomnieli. I rodzice, i uczniowie byli mu nieskończenie wdzięczni, bo też wywierał zbawienny wpływ na młodzież.

Johnny nie mógł pojąć, jak można porzucić własne dziecko. Sam osierocony w dzieciństwie, wiedział z własnego doświadczenia, jak bardzo dziecku potrzebny jest przykład rodziców, ich miłość, opieka, wsparcie. Owszem, babcia, niech spoczywa w spokoju, wychowała jego i Ester najlepiej jak potrafiła. Ale chłopiec potrzebuje męskiego wzorca, który mógłby naśladować, jeśli ma wyrosnąć na człowieka o szerokich horyzontach i współczującym sercu. Dziewczynka też potrzebuje ojca, by z jego ust usłyszeć, że ma piękną duszę i piękną powierchowność. To ojciec mają ośmielać, by realizowała swoje najgłębsze marzenia, by uczyła się przełamywać ograniczenia narzucane jej przez społeczeństwo.

Ester nie mogła wybaczyć Annie, że miesza się do rodzinnych spraw, dla niej przyszłość Zorzy była sprawą wyłącznie rodzinną. A Johnny podziwiał w Annie to, że umacnia Zorzę w jej planach: nie tylko Zorzę, każdą uczennicę i każdego ucznia, którzy przychodzili do niej po radę.

Próbował patrzeć na Annie wyłącznie przez pryzmat pożądania. Niewiele to pomagało, ciągle wracała myśl o założeniu rodziny, o małżeństwie z Annie, i myśl ta sprawiała nieznośny ból. Byłaby równie wspaniałą matką,

jak wspaniałą była nauczycielką. Łagodną, ciepłą, wspierającą. Nie dziwił się, że Zorza tak ją polubiła. Jego przecież Annie też zupełnie zawojowała. Ciągnął do niej jak ćma do światła.

Jego siostra nie była jedyną osobą w plemienu, która nie uznawała kontaktów z białymi, o związkach nie wspominając. Do tej pory nikt nie powiedział mu jeszcze złego słowa. Albo ludzie nie zdążyli się zorientować, że coś go łączy z Annie, albo uważali, że to przelotna znajomość, i nie ma o czym mówić.

Piknik okazał się i bardzo miły, i pouczający. Rozłożyli koc w cieniu potężnych drzew, tuż obok boiska, na którym Johnny kiedyś odnosił swoje pierwsze sukcesy sportowe. Kiedy zaspokoili pierwszy głód, zaczął przywinie snuć opowieści z dzieciństwa, w których zmyślenie zabawnie przeplatało się z prawdą.

- Beze mnie nie wygraliby żadnego meczu - chełpił się, a minę miał przy tym tak zadufaną, że Annie wybuchnęła głośnym śmiechem. - Naprawdę. Nikt ci nie mówił, że tylko dzięki mnie weszliśmy do rozgrywek stanowych? Sam zdobyłem wszystkie bramki. Nikt mi nie mógł dorównać. Ciągle jestem najlepszy.

- Mam to sprawdzić? - zapytała, podchwytyjąc żartobliwy ton Johnny'ego.

Lubiła, kiedy żartował, słuchała uważnie, kiedy mówił serio. Skończył szkołę prowadzoną w misji i tylu informacji, co w jego relacjach, nie znalazłaby w żadnym

opracowaniu naukowym. Fascynowało ją wszystko, co dotyczyło bujnej przeszłości Johnny'ego. Od czasu do czasu rzucał jakąś anegdotę, jak choćby ta:

- Siostra Margaret Eleanor nie tolerowała na terenie misji żadnego wina poza mszalnym - powiedział, gdy Annie nalewała wino do kubków. - Twierdziła, że z mojego powodu zupełnie osiwiłała w ciągu kilku miesięcy, czego, naturalnie, z powodu kornetu nie można było sprawdzić. W każdym razie bardzo mnie ucieszyła ta wiadomość, bo myślałem, że jest łysa. Wszyscy tak myśleliśmy.

Annie znowu parsknęła śmiechem. Widziała oczyma wyobraźni buńczuczego, hardego nastolatka, który nie uznaje żadnych autorytetów. Zbierała okruchy informacji, którymi ją raczył, i komponowała z nich pracowicie, jak komponowała swoje witraże, obraz człowieka, jakim był teraz. Wykorzystując jego dobry nastrój, próbowała dowiedzieć się czegoś więcej.

- Coś mi się wydaje, że za młodu nie tylko siostrze Margaret Eleanor dawałeś się we znaki.

- I dostawałem po łapach - dodał natychmiast Johnny, podnosząc dłoń i nienaturalnie zginając palce. - Obrywałem od pierwszej klasy, widzisz? - ciągnął z kamienną twarzą. - Jak pocałujesz, to może się wyprostują.

Widząc, że sobie z niej kpi, odepchnęła jego dłoń.

- Wstydź się. Czemu mnie nabierasz?

Miała ochotę powiedzieć mu, żeby pocałował ją w pupę, ale damie takich rzeczy mówić nie wypada. Poza tym,

znając go, mogła podejrzewać, że przyjmie jej propozycję dosłownie.

- Tak łatwo cię nabrać, że nie mogę sobie odmówić przyjemności. - Johnny na znak rozejmu podał jej udko kurczaka.

- Już to gdzieś słyszałam - mruknęła.

Znowu napłynęły chwytające za gardło wspomnienia z przeszłości. Upiła łyk wina, jakby miała nadzieję, że spłucze ono niesmak w ustach.

Johnny uniósł brwi w niemym pytaniu, zdziwiony zmienionym wyrazem jej twarzy, ale nie miała siły ani ochoty wyjaśniać czegokolwiek. Dzień był tak piękny, że szkoda było zatruwać go smutkami. Annie wyciągnęła się na kocu i zapatrzyła w pierzaste chmurki sunące po niebie. Chyba nigdzie niebo nie jest aż tak błękitne, tak czyste, jak w Wyoming. Nie pamiętała, kiedy po raz ostatni tak się wylegiwała, obserwując nieboskłon.

- Ten wygląda zupełnie jak biały bawół - powiedział Johnny, wskazując szarżujący obłok.

Annie chciała zapytać, jakie znaczenie symboliczne może mieć wizerunek bawołu, choćby w postaci obłoku, ale Johnny zamknął jej usta pocałunkiem i nic już nie było ważne. Wszystkie pytania, wszystkie myśli pierzchły z głowy, ziemia zadudniła, jakby przez równinę gnało całe stado bawołów. Hm, dziwne porównanie. Annie nigdy nie miała skłonności do romantycznych hiperboli. Irytowały ją te wszystkie „eksplozje”, „płomienie”, „huragany” i „burze”, za pomocą których ludzie próbują opisywać coś tak

abstrakcyjnego jak namiętność. Dzisiaj jednak nie potrafiła zdobyć się na cynizm. Patrzyła w błękitne niebo, czuła bliskość Johnny'ego i miała wrażenie, że jakaś kosmiczna siła wybiła kulę ziemską z jej odwiecznej orbity.

I gdyby nie to, że mocno obejmowała Johnny'ego, pewnie i ją wyrzuciliby w nieskończony przestwór niebieski. Usta Johnny'ego smakowały winem i niewypowiedzianymi obietnicami: od takiej mieszanki może zakręcić się w głowie.

- Siostra Margaret Eleanor na pewno nie zaaprobowałyby takiej publicznej manifestacji uczuć - powiedział Johnny i odchylił głowę, ciekaw reakcji Annie. - Ale bez wątpienia zaaprobowałyby ciebie.

- Tak? - ucieszyła się Annie.

Komplementy w ustach Johnny'ego należały do rzadkości. Spodobała się jej myśl, że siejąca postrach wśród uczniów siostrzyczka mogłaby pobłogosławić ich ulotny związek. To miłe, że Johnny przywoływał w charakterze wyroczni osobę, którą najwyraźniej darzył szacunkiem.

- Gdyby mogła nas teraz widzieć, orzekłaby pewnie, że skoro mnie znosisz, zasługujesz na kanonizację.

Niespiesznie skończyli lunch, rozkoszując się ciszą, spokojem, słońcem. Nie było turystów, muzyki z transzystorów, walk o kawałek miejsca na trawie, gdzie można by rozłożyć koc; tylko on i ona i błękitne niebo nad nimi.

Annie zaczęła powątpiewać, czy aby miała rację, namawiając Zorzę do opuszczenia tego sielskiego, dotąd nieodkrytego zakątka.

Chciała podzielić się tą refleksją z Johnnym, ale po namyśle doszła do wniosku, że nie będzie psuła mu humoru. Ani sobie. Od dawna wyznawała zasadę, że najlepsze, co człowiek może dla siebie uczynić, to cieszyć się chwilą, dopóki ta trwa.

Zapakowali resztki jedzenia do kosza i ruszyli w dalszą drogę.

Pierwszym budynkiem misji, który ukazał się ich oczom, był opuszczony pawilon klasztorny, który czas obrócił w ruinę, jedna z najstarszych budowli wzniesionych na terenie rezerwatu. Niezupełnie opuszczony, jak twierdził Johnny, bo nawiedzany przez duchy. Wspaniałomyślne musiały być to duchy, bo dzieliły mieszkanie z grzechotnikami, szczurami i różnym innym paskudztwem.

- Nie wierzę w duchy - oznajmiła Annie stanowczo.
- Większość białych nie wierzy - powiedział Johnny.

- Potraficie zamykać się na głosy przeszłości. Misjonarze, którzy tu pracowali, mieli zapewne dobre intencje - ciągnął - ale wyrządzili też wiele złego. Wyobrażasz sobie, co to znaczyło dla indiańskiego dziecka odrzucić swoje prawdziwe imię i stać się kolejnym Smithem czy Brownem? Tak jakby postrzyżyny miały odciąć malca od korzeni, wymazać z jego czy jej pamięci plemienną przeszłość, uczynić kimś zupełnie innym, niby-białym. Tylko niby-białym, bo rezerwaty miały służyć separowaniu dzikich od przyzwoitych, godnych szacunku przedstawicieli rasy kaukaskiej.

Temat był przykry, drażliwy i Annie prawie się nie odzywała, w milczeniu obchodząc z Johnnym teren mi-

sji. Nie czuła się odpowiedzialna za winy swoich przodków i za ich okrucieństwa. Niechlubna to karta w historii kraju, ale nie jej ręka tę kartę zapisała. Bardzo chciała wierzyć, że Johnny nie zalicza jej do tych białych, o których wyrażał się z taką goryczą.

A może przeciwnie, może chciał dać Annie do zrozumienia, że jej intencje, kiedy zachęcała Zorzę, by wbrew wszystkiemu realizowała swój talent i asymilowała się w świecie białych, wcale nie były takie czyste, jak się jej początkowo wydawało?

- Wierzysz w to, w co chcesz wierzyć - mówił Johnny - ale ludzie, których szczerze podziwiam, przysięgali, że słyszeli dochodzące z pustej sali gimnastycznej odgłosy gry w piłkę, czuli nagły chłód w upalne, letnie dni, widzieli powyginane w najdziwniejsze pętle rury i pręty, których żadna ludzka ręka nie zdołałaby tak odkształcić.

Annie przeszedł dreszcz. Zarzekała się, że nie wierzy w duchy, a jednak, słuchając Johnny'ego, poczuła się nieswojo.

- Próbujesz mnie nastraszyć - powiedziała z wyrzutem.

- Próbuję tylko obudzić w tobie zdrowy szacunek dla zmarłych. Zwróciłaś uwagę, ile jest w rezerwacie zamkniętych na głucho domów, które na oko w pełni nadają się jeszcze do mieszkania?

Annie skinęła głową.

- Niektórzy Indianie, nie wszyscy, ale są tacy, nie chcą mieszkać w domach, w których ktoś umarł.

Dłuższą chwilę spędzili na małym cmentarzu, po czym ruszyli do kaplicy. Tu Johnny zamienił się w małego łobuza sprzed lat: wślizgnął się do dzwonnicy, pociągnął za sznur i w czystym powietrzu poniósł się magiczny, srebrzysty dźwięk.

- Pamiętam, jak ta lina unosiła mnie w górę, kiedy byłem mały - powiedział z psotną miną i łypnął okiem za siebie, jakby nie był pewien, czy zaraz nie nadbiegnie przypadkiem siostra Margaret Eleanor i nie da mu po łapach linijką.

Annie zaniemówiła na widok przesklepionego kopułą wnętrza kaplicy. W prezbiterium wspaniały fresk przedstawiający indiańską Maryję, barwne światło padające przez witraż w zachodniej elewacji, ściany zdobione malowidłami odwołującymi się do motywów etnicznych, wszystko to tworzyło całość stanowiącą doskonałe połączenie dwóch różnych tradycji i dwóch różnych kultur, najdoskonalsze połączenie, jakie dotąd widziała.

Prawdziwie święte miejsce, przepełnione atmosferą sacrum, pomyślała i spłynął na nią cudowny spokój. Ucisnęła dłoń Johnny'ego w podzięcie, że ją tutaj przywiózł.

- Siostra Margaret Eleanor na pewno nie zaaprobowałyby tego, co mam zamiar zrobić - ostrzegł ją Johnny i pocałował.

Stali przed ołtarzem, dokładnie w tym samym miejscu, gdzie jego rodzice przed trzydziestu laty brali ślub.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Annie straciła grunt pod nogami. Nie wiedziała, czy się wznosi do nieba, czy opada z zawrotną szybkością w świetlistą przepaść.

Skok bez spadochronu... rzucenie się głową w dół, bez zastanowienia, w miłość, szaloną, namiętą miłość... Niech diabli wezmą rozsądek, przezorność i ostrożność.

Oddawała pocałunek całym sercem, przekazywała w nim wszystko, czego nie są w stanie wyrazić słowa. Ocknęła się, słysząc ciche chrząknięcie. Odskoczyła od Johnny'ego, a on, widząc jej minę, uśmiechnął się szeroko.

- Przyjechaliście ustalić datę ślubu? - zagadnął młody ksiądz niezbyt pewnym głosem i podszedł do ołtarza. Biedak był wyraźnie speszony.

Annie przemknęła przez głowę absurdalna, zwariowana myśl. Wyobraziła sobie, że są zaręczeni, że rzeczywiście przyjechali do misji, żeby dać na zapowiedzi: wezmą ślub w magicznej kaplicy i już do śmierci będą razem.

Słyszając głośny śmiech Johnny'ego, oblała się rumieńcem. Próbowwała go zrozumieć. Przecież prawie się nie znali, acz ona miała wrażenie, że zna go od zawsze. Chyba naprawdę zaczynała wariować. Ślub? Pytanie księdza

musiało go szczerze rozbawić. W dodatku nie czynił tajemnicy, że do Kościoła nie pała specjalną sympatią.

Z jakichś nieznanych jej, tajemniczych powodów Johnny nie chciał czy nie potrafił zaangażować się w trwały związek. Z żadną kobietą. Tu nie chodziło o nią, problem musiał tkwić gdzie indziej.

Johnny zupełnie nie rozumiał, skąd u Annie ten ból malujący się na twarzy. Kiedy zareagował śmiechem na pomyłkę księdza, nie chciał przecież sprawić jej przykrości, próbował tylko obronić ich oboje przed jawnym absurdem. Zamiast być mu wdzięczną, że ich wybawił z kłopotliwej sytuacji, patrzyła na niego takim wzrokiem, jakby wymierzył jej policzek.

Nie chciał mieć nic wspólnego z Kościołem, myśl o wszelkich sakramentach mierziła go, a już najbardziej myśl o spowiedzi. Żadna pokuta nie była w stanie zmazać grzechu, który na nim ciążył: nie uratował przyjaciela na polu bitwy. Dotąd miał go przed oczami, widział, jak Michael kona na jego rękach. Jedyne, co mógł zrobić, to rzucić wojsko i poświęcić się pomocy młodym ludziom w rezerwacie.

- Chodźmy stąd! - rzucił ostro i pociągnął Annie do wyjścia, nie przyklękając nawet przed tabernakulum, jak go uczyły siostrzyczki.

Romantyczny nastrój prysł w jednej chwili, jakby ktoś wrzucił do malowniczej kaplicy wielki kamień, roztrzaskując przy okazji witraż.

Kiedy zbliżali się do furgonetki Johnny'ego, pod kaplicę podjechał stary el camino. Młody człowiek wyskoczył zza kierownicy, otworzył drzwi współpasażerke i dał jej gorącego całusa. Musiała być to para, na którą czekał ksiądz.

- Cześć, Henry. Słyszałem, że Roberta wreszcie cię usidliła - odezwał się Johnny żartobliwym tonem, podchodząc do dwojga swoich byłych uczniów, niedawno upieczonych absolwentów.

Chłopak roześmiał się i zaczął dziękować Johnny'emu.

- Mam dobrą pracę i wspaniałą dziewczynę. To twoja zasługa, że wyszedłem na ludzi. Zmusiłeś mnie, żebym skończył szkołę.

Annie uśmiechnęła się, słysząc, że któryś z uczniów Johnny'ego odważył się w ogóle myśleć o porzuceniu szkoły, i zaraz jej myśli podażyły w innym kierunku. Na widok tych dwojga zakochanych, wpatrujących się w siebie ciełym wzrokiem, poczuła ukłucie zazdrości. Ciemnowłosi, ciemnoocy, o ciemnej karnacji... Podobni do siebie i piękni. Ich dzieci nigdy nie będą miały problemu z określeniem swojej tożsamości w świecie, gdzie szermowano pogardliwymi określeniami: „mieszaniec”, „półkrwi Indianin”, „Metys”. Nie będą musiały rozliczać się z grzechów swoich przodków tylko z tego powodu, że w ich żyłach płynie krew białych. Nie będą musiały budować mostów porozumienia nad kulturową przepaścią.

W drodze do domu Annie cały czas myślała o jed-

nym: pragnęła powiedzieć Johnny'emu, jak bardzo go kocha. Raz tylko uczyniła podobne wyznanie, miała wtedy siedemnaście lat i adresat jej gorącej deklaracji, ledwie usłyszał o uczuciu, wziął nogi za pas. Jeszcze bardziej niż miłość przeraziła go wiadomość, że ma zostać ojcem. Uciekł, dziecko nie przeżyło, a potworny ból w sercu pozostał. Przyjaciółki pocieszały ją, że poronienie było dla niej zrzędzeniem losu: nie mogła tego słuchać.

Wtedy to przysięgła sobie, że nigdy już nie zaufa żadnemu mężczyźnie.

Twierdziła co prawda, że nie wierzy w duchy, a przecież budził ją w nocy płacz jej nienarodzonego dziecka, przywołującego matkę.

- To chyba dobrze, że zamykasz drzwi na klucz - powiedział Johnny, kiedy podjechali pod dom Jewell. - Wygląda na to, że jakiś lump rozgościł się na ganku.

Annie ocknęła się z zamyślenia. Rzeczywiście, na ganku siedziała jakaś skulona postać, obok stała nędzna, mocno sfatygowana walizka.

- Pewnie jakiś komiwojażer - mruknęła Annie bez przekonania.

- Z całą pewnością nie. - Uśmiech Johnny'ego nie wróżył nic dobrego.

Kiedy zaparkowali, postać ożyła, podniosła głowę.

- Zorza! - krzyknęła Annie nie na żarty zaniepokojona widokiem dziewczyny. - Co ty tu robisz?

Zorza, jeszcze ze śladami łez na policzkach, udając,

że nie widzi morderczego spojrzenia wuja, rzuciła się Annie na szyję.

- Uciekłam z domu - wykrztusiła. - Chcę mieszkać u pani.

Kiedy zasiedli w trójkę w bawialni, ze szklankami lemoniady w dłoniach, Zorza zrelacjonowała w urywanych zdaniach, co się stało: doszło do potwornej awantury z matką, nie mogła już tego znieść i podjęła desperacką decyzję opuszczenia na zawsze rodzinnego domu.

Annie wysłuchiwała opowiadania dziewczyny spokojnie, nie przerywała jej ani słowem, ale w środku cała się trzęsła ze zdenerwowania. Wyjechała z Chicago, żeby uciec od komplikacji i problemów. Chciała uporządkować swoje życie. Nie pomyślała, że problemy będą za nią szły wszędzie, gdziekolwiek się schroni, jeśli nie jej własne, to cudze: zawsze ktoś szukał u niej pomocy.

- Nikt mnie nie przekona. Mówcie, co chcecie, ja już tam nie wrócę - oznajmiła Zorza, rzucając harde spojrzenie wujowi. - Pani jedna mnie rozumie, panno Wainwright. Mama traktuje mnie jak dziecko, mówi, że jestem „rozpuszczona i uparta”, a reszta rodziny tak się jej boi, że nikt się za mną nie wstawi.

- Zanim zaczniemy rozmawiać, zadzwonię do twojej matki i powiem jej, gdzie jesteś - powiedział Johnny, dowodząc prawdziwości słów siostrzenicy. - Jeśli zaraz się tu pojawi na swoim bojowym kucu, nie ręczę za nasze bezpieczeństwo.

Nie bacząc na głośne i gwałtowne protesty Zorzy, Johnny zaczął wystukiwać numer, tymczasem Annie zajęła się dziewczyną.

Johnny był pełen podziwu dla jej spokoju. Znał już talenty pedagogiczne Annie, ale z tego, co widział, musiała być równie doskonałą terapeutką. Sporo terapeutów przewinęło się przez szkołę: byli albo zbyt nafaszerowani fachową wiedzą, która przesłaniała im jednostkowo problemy pojedynczego człowieka, albo też przyjeżdżali do rezerwatu z poczuciem misji: chcieli koniecznie ratować szlachetnych dzikusów przed wyginięciem. Uczniowie pogardzali jednymi i drugimi.

- Jeśli sprawa rozbija się o pieniądze - mówiła Annie - wyjaśnij mamie, że nie musi się bać obciążeń finansowych. Pomogę ci zdobyć stypendium, są też różne granty, jest wiele możliwości pokrycia kosztów studiów.

- Nie chodzi tylko o pieniądze - wtrącił Johnny, mając na myśli problemy kulturowe, z jakimi musi zetknąć się każdy młody człowiek opuszczający rezerwat.

Ci, którzy wyjeżdżali, przez resztę traktowani byli jak zdrajcy, co odcinało im drogę powrotu. Byli też tacy, większość niestety, którzy wracali pokonani, poobijani przez życie, z poczuciem przegranej. Jeszcze inni nie potrafili funkcjonować równolegle w odmiennych kulturach i uciekali w narkotyki. Ci wracali do domu w trumnach.

Johnny z własnego doświadczenia wiedział, jak trudno jest pozostawać wiernym swojej tradycji i żyć równocześnie w świecie białych.

Po długich dyskusjach Zorza wreszcie uległa argumentom Annie i zgodziła się wrócić do domu, pod jednym wszak warunkiem: Johnny miał zostać z nią, dopóki matka i córka nie ustalą między sobą warunków rozejmu.

- Bardzo chętnie przyjąłabym cię pod swój dach, ale twoja matka też ma coś do powiedzenia. Nie jesteś jeszcze pełnoletnia i nie możesz sama decydować o sobie. - Annie odprowadziła Zorzę do drzwi. - Oczywiście, nikt też nie może zmusić cię, żebyś robiła coś wbrew własnej woli. To twoje życie, ale pamiętaj, matka jest tylko jedna i nawet jeśli się z nią nie zgadzasz, winna jej jesteś szacunek.

Johnny miał dzisiaj okazję zobaczyć Annie, jakiej jeszcze nie znał. Ta kobieta była pełna tajemnic, nic prawie o niej nie wiedział. Z jednej strony chciał poznać ją lepiej, z drugiej wolałby nie pogłębiać swojej wiedzy, trzymać się z dala od jej osobistego życia, nie wnikać w skomplikowane wnętrze.

Właśnie, skoro już mowa o kobietach obdarzonych skomplikowanym wnętrzem... Dreszcz go przechodził na myśl o spotkaniu z Ester. Bał się konfrontacji z siostrą niemal tak samo jak Zorza. Ester miała złote serce, ale zawsze musiała postawić na swoim. Nic dziwnego, że Zorza chciała się wyrwać spod skrzydeł apodyktycznej matki. Prawdę mówiąc, Johnny był zdziwiony, że czekała tak długo.

Oczywiście cała wina za bunt Zorzy spadnie na biedną Annie. Kiedy Ester rozprawi się już z córką, jak nic zmy-

je głowę bratu, że zadaje się z „tą białą wariatką”, która uparła się zniszczyć ich rodzinę. Ester na pewno wpadnie w furję, słysząc, co Johnny ma do powiedzenia na obronę Annie, ale on już zdecydował, że nie pozwoli znieważać swojej przyjaciółki. Jediną jej przewiną było to, że za bardzo troszczyła się o innych, zapominając o sobie.

Kiedy Johnny pojawił się po kilku godzinach w domu Jewell, Annie leżała już w łóżku, ale nie spała jeszcze. Czekwała na niego, zostawiła zapalone światło na ganku, nie zamknęła drzwi na klucz, spodziewała się, że wróci i opowie jej, jak Ester przyjęła córkę.

Zmęczony przysiadł na krawędzi łóżka i zdał krótkie sprawozdanie.

- To wojna o dominację - zakończył. - Żadna z nich jej nie wygra. - Nie wspomniał ani słowem o swojej „dyskusji” z Ester na temat Annie. - Ostatecznie zgodziły się mieszkać pod jednym dachem, dopóki Zorza nie skończy szkoły. To niecały rok, jakoś muszą ze sobą wytrzymać.

Annie westchnęła z ulgą. Chętnie zaproponowałyby dziewczynie, żeby z nią zamieszkała, ale to nie rozwiązałyby problemu. Raz już się sparzyła w podobnej sytuacji i przyrzekła sobie nigdy więcej nie wykonywać podobnych gestów, choć nie spodziewała się, że zaniechanie będzie ją tak wiele kosztować.

- Chodź do łóżka - powiedziała, przesuając się trochę.

Serce to szalony doradca, ale nie sposób pozostawać głuchą na jego głos.

Ich znajomość wkrótce miała się zakończyć, trudno. W niczym nie umniejszało to namiętności Annie, przeciwnie, czyniło ją chyba jeszcze silniejszą.

- Co się stało? - zapytała, kiedy Johnny nie zareagował na jej zaproszenie.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że robiłaś to już wcześniej?

- Co takiego?

Nie raczył odpowiedzieć. W każdym razie nie od razu. Podniósł się z nadąsaną miną: najwyraźniej zamierzał wyjść.

- Jesteś świetna. Dlaczego robisz tajemnicę ze swoich umiejętności? Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? Wstydzisz się?

- Wstydzę się tylko jednego, że jestem głupia.

Johnny rozmyślił się, usiadł na powrót. Był zdecydowany czegoś wreszcie się o niej dowiedzieć, nawet wbrew jej chęciom.

- Mów.

Annie zaczęła opowiadać cichym, monotonnym głosem.

- Jeszcze nie tak dawno temu pracowałam jako terapeutka w szkole w Chicago. Pewnego dnia zdarzyło się coś strasznego. Postanowiłam wycofać się z zawodu. Koniec historii.

Johnny'ego ta lakoniczna relacja nie zadowoliła. Wie-

dziony intuicją zadał pytanie trafiające prosto w sedno sprawy.

- Czy to miało coś wspólnego z dzieckiem, którego zdjęcie stoi na kominku? - Zaczął głaskać ją po głowie, jakby chciał dodać jej siłę, zachęcić do zwierzeń. Kołysał ją w ramionach, szeptał do ucha słowa otuchy. Poskutkowało, bo Annie w końcu się otworzyła.

- Ta dziewczyna miała mniej więcej tyle lat co Zorza. Urodziła dziecko, musiała sama je wychowywać, nie dawała sobie rady. Odpowiedzialność ją przerosła. Pewnego dnia nieoczekiwanie wmaszerowała do mojego gabinetu, wybuchnęła płaczem i podała mi dziecko. Błagała, żebym zaopiekowała się małą. Zanim zdążyłam zareagować, wybiegła ze szkoły i wszelki ślad po niej zaginał.

- Wzięłaś dziecko?

- Zawiadomiłam policję. Nie znaleźli matki. Zostałam opiekunką dziecka i wszczęłam procedurę adopcyjną.

- Pokochałaś tę małą.

- Jak rodzoną córkę. Miała na imię Laurel, była cudowna. I taka piękna.

Annie słowa więzły w gardle. Oparła głowę na piersi Johnny'ego i rozszlochała się. Myślała, że wypłakała już wszystkie łzy, ale cicha empatia Lonebeara poruszyła ją bardziej niż jakiegokolwiek wyrazy pociechy czy współczucia.

- Walki gangów, strzelaniny uliczne, narkotyki, samobójstwa, wszystko okazało się niczym w porównaniu z tym, co przeżyłam, kiedy dziewczyna wróciła z gigantu radosna jak skowronek i zażądała zwrotu Laurel.

Annie dała wreszcie upust swojemu bólowi. Johnny słuchał; chciał, by zrzuciła wreszcie ciężar z serca. Przygarnął ją do siebie, objął mocno. Różnych rzeczy oczekiwał, ale czegoś takiego nie spodziewał się usłyszeć. To, czego doświadczyła, było w pewnym sensie równie traumatyczne, jak jego przeżycia z pól bitewnych.

Żałował teraz, że zmusił ją do opowiadania o bolesnych wydarzeniach, ale dzięki temu lepiej ją rozumiał, tak jak lepiej rozumiał, dlaczego tak bardzo ją kocha.

Ani nie potrafił wyrazić w słowach swojej miłości, ani nie mógł się zmusić do zawierzenia jej mrocznych sekretów. To wszystko sprawiało, że czuł się przy niej mały i nędzny.

Ciałem Annie wstrząsnęło łkanie.

- Nie uwierzysz, co usłyszałam od tej dziewczyny... Wyzwała mnie od najgorszych, nazwała złodziejką dzieci, zasuszoną starą panną, wypatroszoną fladrami... - głos się jej załamał. - Krzyczała, że jak chcę mieć dziecko, to zamiast kraść cudze, niech sobie zrobię własne, jeśli znajdę kogoś, kto będzie chciał się ze mną przespać.

Johnny zacisnął dłonie. Słuchał zwierzeń Annie i nic nie mógł zrobić, nie był w stanie jej pomóc. Gdyby mógł dostać w swoje ręce tę pozbawioną uczuć sikę. Przypomniał sobie, jak sam okrutnie obszedł się z Annie przy ich pierwszym spotkaniu, i miał ochotę obciąć sobie język.

- Czasami ludzie mówią okrutne rzeczy, chociaż wcale tak nie myślą - powiedział, bardziej usprawiedliwiając samego siebie. - Dziewczyna nawrzeszczała na ciebie,

bo było jej wstyd, że porzuciła własne dziecko. Bała się pewnie, że sąd pozbawi ją praw rodzicielskich i przyzna opiekę nad małą tobie.

- Nie, tak się nie stało. - Annie nie mogła się uspokoić. - Nie zrozumiesz nigdy, co to znaczy, kiedy wrywają ci dziecko z rąk, to tak, jakby ktoś wrywał ci serce. Nie potrafiłam już wrócić do pracy. Czułam się wydrażona, pusta, nie miałam nic do zaoferowania swoim uczniom. Nie mogłam radzić im, jak mają rozwiązywać swoje problemy, kiedy ja nie potrafiłam dojść do ładu z własnymi. Dlatego zdecydowałam się rzucić terapię i przyjechać tutaj. Pomyślałam, że sztuka mnie uleczy, że jest jakiś sens w uczeniu piękna.

A jednak, wbrew temu, co mówiła, była znakomitą terapeutką. Widział przecież, jak odniosła się do zdesperowanej Zorzy, jak potrafiła ją uspokoić, pokazać inne punkty widzenia. Dobry terapeuta to rzadkość, prawdziwy skarb, Johnny sam szukał kogoś, kto od jesieni objałby stanowisko szkolnego psychologa, i teraz zastanawiał się, czy nie zaproponować tej pracy Annie. Gdyby ją przyjęła, mogłaby zostać w rezerwacie tak długo, jak tylko by zechciała, a on, prawdę mówiąc, nie wyobrażał sobie życia bez niej.

- Według mnie jesteś świetną terapeutką, a kiedyś będziesz wspaniałą matką, uwierz mi.

Na te słowa Annie znowu zaniósł się szloch, strasznym, niepohamowanym. Johnny nie wiedział, co się stało, co takiego powiedział.

- Byłam kiedyś w ciąży - wykrztusiła łkając. - Poroniłam, straciłam dziecko.

Zacisnęła powieki, zamilkła, oparła głowę o jego pierś. Nie była w stanie mówić, zbyt wiele powiedziała tego wieczoru, otworzyła przed Johnnym duszę i teraz czuła się zupełnie wyczerpana.

Johnny nie nalegał, nie zadawał więcej pytań, choć bardzo chciał wiedzieć, gdzie też podział się ojciec tego dziecka.

- Jeszcze będziesz miała dzieci - powiedział cicho i zaczął scałowywać łzy z twarzy Annie.

Tej nocy, po burzliwym, nasyconym najróżniejszymi emocjami dniu, Johnny zapomniał o zabezpieczeniu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

We mgle, na oślepie, Johnny szukał swoich towarzyszy broni, kierując się tylko ich jękami. Piął się po zboczu góry zbudowanej z ludzkich czaszek upiornie chrzęszczących pod jego stopami.

- Tutaj!
- Nie, tutaj!
- Tu, tu!

Nawoływania ze wszystkich stron. Johnny potknął się, padł w błoto zmieszane z krwią. Jestem w piekle, przemknęła mu przez głowę straszna myśl. Otarł umazaną twarz rękawem munduru i zobaczył tuż obok siebie skulonego w nienaturalnej pozycji Michaela.

- To, ja, stary. Jestem przy tobie. Wyniosę cię stąd.
- Zajmij się najpierw innymi, oni bardziej potrzebują pomocy. Ja jeszcze wytrzymam. - I Michael rozpląnął się we mgle.
- Ratunku!
- Pomocy!

Dobiegające zewsząd głosy duchów wojny...

W tym powtarzającym się z uporczywą, obsesyjną częstotliwością śnie Johnny miał wynieść rannych towarzyszy z zaminowanego pola rozciągającego się po widnokrąg we wszystkich kierunkach. Na próżno próbował się obudzić.

- Tutaj! Umieram!

Skrwawione dłonie, ręce wyciągające się z grobów i chwytające go za kostki. Świsł pocisków, huk bomb, wybuchające miny. Brnie przez pole, wynosi kolejnych rannych, wraca po następnych, bez końca...

Jeszcze tylko jeden ranny. Ostatni. Michael. Johnny wraca po niego, ale przyjaciel już nie żyje.

I Johnny budzi się z krzykiem.

Otwiera oczy i widzi nachylającego się nad nim anioła. Jasnowłosego, błękitnookiego, jak wszystkie anioły, które zna z obrazów. Anioł jest nieziemsko piękny. I bardzo podobny do Annie.

Długo jeszcze trwał zawieszony między snem i jawą, zanim zrozumiał, że nie jest ani w piekle, ani w niebie i że anioł, który się nad nim nachyla, to naprawdę Annie.

To między innymi z powodu prześladowających go prawie co noc koszmarów nie chciał dzielić łóża z żadną kobietą. W tych rzadkich razach, kiedy pożądanie brało górę, nie czekając świtu wymykał się z domu partnerki. Gdy pytały, dlaczego wychodzi, kłamał niezbyt przekonująco, że musi jeszcze wyprowadzić na nocny spacer Smokeya.

- Przestraszyłem cię. Przepraszam.

I Johnny odwrócił się do Annie plecami. Nie chciał rozmawiać o swoich snach, nie chciał się zwierzać. Wstydział się swojej słabości.

Annie przytuliła się do niego, otoczyła ramionami. Próbował się uwolnić z jej objęć, ale potrafiła być stanowcza i uparta.

- Wiem, że wolałbyś tego nie usłyszeć - zaczęła - ale pomimo wszystko powiem. Nie dlatego, że muszę, dlatego, że chcę. Kocham cię, Lonebear. I zechciej zrozumieć, że te trzy słowa nie niosą ze sobą żadnych zobowiązań. Wiedz, że nic, co przeszedłeś w przeszłości, nie zmieni moich uczuć do ciebie.

To niemożliwe. Ktoś tak wrażliwy jak ona nie może go kochać. Gdyby wiedziała, jakich koszmarów był świadkiem, jakie potworności musiał oglądać, nie wypowiedziałaby słów, które przed chwilą padły z jej ust.

Nie zamierzał dawać jej fałszywej nadziei.

- To ani bezpieczny, ani mądry wybór - mruknął cierpko.

- Bo też nie jest to żaden wybór - powiedziała Annie spokojnie. - Gdybym miała wybierać, dawno bym uciekła. To uczucie, Johnny. Najwspanialsze, jakie kiedykolwiek było moim udziałem. Nie uwolnię się od niego, nawet gdybym chciała, a nie chcę. Jesteś mi tak samo niezbędny do życia, jak powietrze, którym oddycham.

Johnny doskonale wiedział, co Annie czuje, bo on czuł to samo. Wypełniała bez reszty jego myśli, ożywiała zmysły, była oddechem, który wciągał do płuc.

- Dlatego z nią walczył. By chronić ją przed sobą.
- Rozczaruję cię. Zawiodę.
 - Jak Michaela? - powtórzyła imię, które po wielokroć wykrzykiwał przez sen.
 - Tak.

Odwrócił się gwałtownie do Annie z bolesnym grymasem na twarzy. Niech wreszcie pozna budzącą wstręt prawdę.

- Mój najlepszy przyjaciel umarł, bo mi zaufał. Powiedz mi, jak to jest kochać się z mężczyzną, który ma ręce splamione krwią swojego najlepszego przyjaciela?

- Żołnierz, który zawiódł, nie dostaje najwyższych odznaczeń - odparła po długiej chwili i położyła mu palec na ustach, by jej nie przerywał.

- Ciii. Nawet jeśli zawiódłeś, w co bardzo wątpię, odkupiłeś swoją winę tysiącrotnie przez cierpienie. I przez to, co robisz dla młodych ludzi, prowadząc szkołę, A gdybyś miał jeszcze jakieś wątpliwości, to wiedz, że jesteś najlepszym człowiekiem, jakiego w swoim życiu spotkałam. Michael dawno ci wybaczył, teraz pora, żebyś wreszcie wybaczył samemu sobie.

Johnny łykał palące łzy. Może Annie miała rację. Michael nie chciał pomocy, dopóki ostatni z jego żołnierzy nie znajdzie się poza zasięgiem ognia. On sam na miejscu przyjaciela na pewno zachowałby się tak samo. Dobry dowódca przedkłada życie podkomendnych nad własne.

Tak, Annie miała rację, mówiła rozumnie, jednak wy-

rzuty sumienia pozostały. I lęk, że ją też kiedyś może zawieść, jak Michaela.

- Zostań ze mną, Johnny, proszę. Chociaż do rana. Najlepiej do końca lata.

Na zawsze...

Ostatnich słów nie odważyła się wypowiedzieć na głos. Dość już tej nocy powiedziała. Ofiarowała Johnny'emu serce i teraz mogła liczyć tylko na to, że za bardzo nie ucierpi, kiedy przyjdzie chwila rozstania.

Plotka obiegła rezerwat z szybkością błyskawicy. Johnny nie zdążył jeszcze przeprowadzić się na dobre do Annie, a już wszyscy mówili, że z nią mieszka. Fakt, że ukochany Smokey przeniósł się razem z panem, był widowym znakiem, że diabllica całkiem opętała Lonebeara. Starszyzna dziwiła się po cichu, ale powstrzymywała od wygłaszania publicznych opinii. Część matek, tych, które zawsze miały wyrobione zdanie na każdy temat, wyrażała zgorznienie,- że człowiek cieszący się powszechnym autorytetem żyje w grzechu, dając swoim postępowaniem zgubny przykład dzieciom. Mężczyźni uśmiechali się porozumiewawczo i wymieniali sprośne uwagi. Młode kobiety były zazdrosne: oto najbardziej pożądanym w rezerwacie kawaler czasowo został sprzątnięty z rynku matrymonialnego, w dodatku przez białą. Skandal.

Oficjalnie i wprost nikt jednak nie śmiał powiedzieć Annie złęgo słowa i nie robił jej przykrości.

Była tak nienarzucająca się i tyle miała autentycznego

szacunku dla plemiennej tradycji, że trudno było jej nie lubić. Prowadzony przez nią kurs witrażownictwa stał się tak popularny, że ludzie zasypywali radę szkolną prośbami o włączenie go do normalnego planu zajęć. Ester trzymała się na dystans i tylko w czasie spotkań towarzyskich rzucała w kierunku diabłicy mordercze spojrzenia.

Annie domyślała się, że Johnny musiał powiedzieć siostrze kilka ostrych słów, które położyły kres otwartej wojnie, jaką toczyła samopas przeciwko nowej nauczycielce.

Sam Johnny okazał się świetnym towarzyszem, rzecz zdumiewająca u kogoś, kto tak długo żył samotnie. Świetnie gotował, Annie uwielbiała jego dania z grilla. Któregoś dnia postanowił upiec pstrąga i namówił Annie, żeby wybrała się z nim na połów. Pojechali najpierw do sklepu Crowa, musieli wybrać sprzęt i kupić kartę wędkarską dla Annie.

Annie, chcąc oszczędzić Johnny'emu wydatków, upierała się, by wykupił jednodniowe pozwolenie.

- Szkoda pieniędzy na roczną kartę - upierała się. Przecież niedługo wyjadę, dodała w myślach.

- Dla ciebie nie szkoda - powiedział Johnny i pocałował ją w usta przy Jacku Crow i kilku klientach, którzy bezczelnie przyglądali się kochankom.

- Może Lonebear chce cię zatrzymać tu dłużej - zażartował Jack i puścił do Annie oko.

- Może - przytaknął Johnny i pocałował Annie raz

jeszcze, rozwiewając wszelkie wątpliwości zebranych co do prawdziwości swoich słów.

Tylko Annie wątpliwości nie rozwiązał.

Owszem, nigdy w życiu z nikim nie było jej tak wspaniale w łóżku, ale to nie znaczyło, że Johnny poświęci wolność, by nadal rozkoszować się zmysłowymi uciechami, jakich razem zaznawali. Nie zaproponował jej stałej pracy w szkole, nie zachęcał nawet, żeby szukała innej posady w rezerwacie. Miał dla niej tylko pieśczęty i pocałunki. To wszystko. Annie, ze swej strony, doceniała fakt, że nie próbuje narzucać jej więzów, i mówiła sobie, że powinna cieszyć się każdą wspólnie spędzoną chwilą.

Jak choćby teraz perspektywą wspólnego wędkowania na jeziorze. Nigdy dotąd nie łowiła z łodzi, a Johnny zapewniał ją, że będzie to niezapomniane przeżycie. Miał rację. Była zachwycona, tylko Smokey obraził się ciężko, kiedy zajęła jego zwykłe miejsce na wąskiej ławeczce. A kiedy jeszcze Johnny kazał mu zostać na brzegu i tu czekać na powrót wędkarzy, posłał Annie tak wredne spojrzenie, jakby chciał jej powiedzieć, że na zawsze już zachowa w sercu urazę.

- Chyba nigdy mnie nie polubi - poskarżyła się Johnny'emu. Prawdę powiedziawszy, nadal trochę się bała czarnej bestii. I choć ostatnio sama zaczęła karmić Smokeya, chcąc zdobyć jego względy, to ciągle miała wrażenie, że to bardziej niedźwiedź niż pies i że kiedyś zamiast miski mięsa ją pożre na kolację.

- Jest o ciebie zazdrosny - powiedział Johnny. - Musisz mu dać trochę czasu, żeby się do ciebie przyzwyczaił.

Annie pomyślała, że ta uwaga może równie dobrze stosować się do rodziny Johnny'ego, jego przyjaciół oraz mieszkańców rezerwatu w ogólności.

Kiedy oddalili się już dobrych kilkadziesiąt metrów od brzegu, Johnny, prawdziwy dżentelmen, nabił robaka na haczyk, podał Annie wędkę i wyjaśnił, co powinna robić, jeśli chce coś złowić.

Annie zarzuciła wędkę zgodnie z instrukcją. Czekwała niecierpliwie, kiedy pierwsza ryba złapie się na przynętę. Czekwała. I czekała. Nadal czekała. W końcu przestała zwracać uwagę, co dzieje się w okolicach spławika.

Rozkoszowała się pięknem pejzażu, błękitnym niebem nad głową, podzieliła się swoim lunchem z pewnym bardzo łakomym kaczorem i zadawała sobie pytanie, czy ludzie od zawsze mieszkający w rezerwacie są w stanie docenić, jak cudownie czystym oddychają powietrzem. Nie byłaby w stanie oddać pędzlem magii tego letniego dnia, ale postanowiła na zawsze zachować w pamięci każdy jego szczegół.

Pomimo tych różnych umysłowych i zmysłowych doznań, jak też fizycznych - karmienie kaczora - nadal uparcie dzierżyła w dłoni wędkę. Kiedy wreszcie spławik drgnął, podskoczyła tak gwałtownie, że omal nie wyrwała przy okazji łodzi. Całkiem zapomniała, czego uczył

ją Johnny, i zaczęła jak szalona nawijać żyłkę na kołowrotek.

Uznawszy, że nie da pstragowi rady, chciała oddać swoją wędkę Johnny'emu, ale ten uprzejmie odmówił.

- Jeśli potrafiłaś mnie złapać, poradzisz sobie z małą rybką.

- Myślałam, że jesteś nie do złapania. Chodzą pogłoski, że szybko urywasz się z haczyka - odpowiedziała mu pięknym za nadobne.

Johnny w końcu jednak pomógł jej utrzymać wędkę i od razu łatwiej zaczęło się jej nawijać żyłkę. Przy Johnnym wszystko było łatwiejsze, prostsze.

Kiedy wreszcie wyciągnęła zaciekle opierającą się ofiarę, bolał ją nadgarstek, bolała cała ręka. Złowiła swoją pierwszą rybę: pstraga tęczowego.

- Chcesz go wypuścić? - zagadnął Johnny i w Annie obudziły się tak zwane mieszane uczucia: i była dumna z sukcesu, i żal jej było pstraga, i miała ochotę na pyszną kolację.

Ostatecznie podjęła decyzję. Spojrzała na Johnny'ego, zamiast na rybę.

- Już mu nie zwrócę wolności - oznajmiła z mocą.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Annie coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że Johnny wcale nie oczekuje, żeby zwróciła mu wolność. Ich przelotna przygoda przeszła w fazę permanencji: szybko, aż za szybko, zaczęli żyć wspólnym, i bardzo przyjemnym rytmem.

Obydwoje należeli do chronotypu skowronków, zaczęli dzień wcześnie i wcześnie kończyli, wtuleni w siebie w wygodnym łóżku.

Annie co prawda pokpiwała, że ma nienasyconego kochanka, ale sama w niczym mu nie ustępowała w kwestii nienasycenia.

Nigdy nie czuła się tak piękna, tak ożywiona, jak w ramionach Johnny'ego.

Współlokatorem też był idealnym: troszczył się o dom, lubił ład, nie musiała po nim sprzątać.

Kochankiem wspaniałym: czułym, pełnym wyobraźni i pomysłowości. W jego pieścizotach było coś magicznego, co sprawiało, że miłość przestawała być funkcją czysto fizyczną i wznosiła się na duchowe wyżyny.

I był opiekuńczy. Kiedy musiał wyjechać na trzydniową konferencję do Denver, uparł się, że będą Annie strzec jego osobiści ochroniarze.

- To jest Zły, a to Wielki - przedstawił jej dwa śliczne, identyczne szczeniaki.

Bliźniaki najpierw przyjrzały się Annie błękitnymi ślepkami, a potem postanowiły zalizać nową panią na śmierć. Wzajemna miłość od pierwszego wejrzenia. Opiekunowie zakochali się w pani, pani zakochała się w swoich opiekunach.

- A co na to Smokey? - zapytała niepewnie.

Niedźwiedź już ledwo znosił Annie, z trudem godził się z faktem, że pan obdarza afektem jakąś istotę dwunożną, a teraz przybyło mu dwóch czworonożnych intruzów. Już widziała, jak połknie dwie futrzaste kulki, ledwie Johnny zamknie drzwi za sobą.

- Jadę samochodem, zabiorę go ze sobą. Będziesz czuła się pewniej. Ciągłe jesteście ze sobą na nie najlepszej, oględnie mówiąc, stopie, ale i tak traktuje cię znacznie lepiej niż kogokolwiek innego. Pogadam z nim w drodze po męsku i wytłumaczę, że teraz jesteś częścią mojego życia.

Annie serce zabiło żywiej, ale od razu napomniała się surowo, żeby nie przypisywać słowom Johnny'ego znaczenia, którego w nich nie zawarł. Wróciła do szczeniaków, które usiłowały właśnie rozszarpać jeden z chodniczków Jewell.

Sądząc po grubości łap, zapowiadały się na duże psy.

Wielki sam odpowiedział na pytanie: podniósł łepkę i zawył szczenięcym dyszkantem.

- Wilki - szepnęła Annie.

- Mieszkańce wilka i owczarka niemieckiego. Ponieważ stanowczo sprzeciwiasz się trzymaniu w domu broni, pomyślałem, że to będzie najlepsza ochrona.

Nie próbowała się sprzeczać. Po pierwsze dlatego, że od razu zakochała się w maluchach, po drugie, ofiarowanie szczeniaków o czymś świadczyło. Johnny nie mógł przecież oczekiwać, że Annie zabierze ze sobą dwa wilki do Chicago.

- Ciężko mi się rozstawać z tobą, nawet na kilka dni - ciągnął. - Nie chcę zostawiać cię samej.

- Nie mów głupstw. Dam sobie doskonale radę, ale dziękuję, że pomyślałeś o zapewnieniu mi towarzystwa.

Prawdę powiedziawszy, Annie nie wyobrażała sobie, jak zniesie nieobecność Johnny'ego, ale dumna ze swojej niezależności, nigdy by się głośno do tego nie przyznała.

Bracia Zły i Wielki nie odstępowali jej na krok i, tak jak Johnny przypuszczał, stanowili miłe towarzystwo pod jego nieobecność. Niestety, był to jedyny miły akcent w ciągu tych kilku krótkich dni.

Zdarzyło się kilka rzeczy, które kazały Annie poważnie się zastanowić nad związkiem z człowiekiem o tak odmiennych korzeniach i tak różnej, niż jej własna, osobowości.

W poniedziałek Zorza poinformowała ją, że w czasie

weekendu matka jakoś przechwyciła list z college'u w St. Louis, w którym dziewczyna chciała studiować. Koperta zawierała broszurę informacyjną dla kandydatów, formularz zgłoszeniowy i wykaz stypendiów oraz grantów dostępnych dla studentów pierwszego roku.

Oczywiście wybuchła awantura i efekt był taki, że Ester na oczach córki spaliła wszystkie papiery przysłane z St. Louis. Winą za rodzinny konflikt obciążyła, oczywiście, „diablicę”. Panie przestały ze sobą rozmawiać, Zorza znowu wystąpiła z prośbą, żeby Annie przyjęła ją pod swój dach, Annie znowu musiała odmówić i w ten sposób nie dość, że miała przeciwko sobie siostrę Johnny'ego, to zraziła też jego siostrzenicę.

Jakby tego było mało, po południu zaczepiła ją w sklepie jedna z byłych kobiet Johnny'ego i zaczęła się rozwodzić nad uderzającym podobieństwem jej synka do Lonebeara.

- Jakby skórę ściągnął - zachwycała się, Bóg raczy wiedzieć czemu.

Annie jakoś nie mogła dostrzec rodzinnego podobieństwa, ale powstrzymała się od komentarza, nie chcąc przysparzać sobie wrogów. Połowa kobiet w rezerwacie kochała się w Johnnym, toteż była przygotowana na podobne złośliwości. Nawet zbyt nie dziwiła.

Wieczór upłynął jej w minorowym nastroju: dała kolację szczeniakom, sama zjadła ogromną porcję lodów i popadła w smętne zamyślenie.

Lato miało się ku końcowi, a ona nadal nie potrafiła

podjąć żadnych decyzji na przyszłość, wiedziała dokładnie tyle, co w dniu przyjazdu do rezerwatu. Los wyraźnie jej nie sprzyjał, a już mijający dzień był kumulacją wszelkich nieszczęść.

Działo się źle.

Tak źle, że przyprawiło ją to o mdłości. Odstawiła niedojedzone lody i poszła do łazienki, stanęła przed lustrem i nagle wszystko stało się jasne.

Okres. Spóźniał się.

Zawsze miała regularne miesiączki. Co do dnia. Skoro teraz miesiączka się spóźniała, mogło to oznaczać tylko jedno.

Była w ciąży.

Kompletnie oszołomiona, na miękkich nogach, wyszła z łazienki.

Cud. Prawdziwy cud.

Nie wierzyła, że kiedyś jeszcze zajdzie w ciążę.

W przyływie radości chciała dzwonić do Johnny'ego, podzielić się z nim dobrą nowiną.

Nie, nie zadzwoni. Pójdzie najpierw do lekarza, upewni się, że to prawda. Poza tym, nawet jeśli jest w ciąży, jaką ma gwarancję, że znów nie poroni? Jak Johnny zareaguje na wiadomość o dziecku? W głowie kłębiły się najróżniejsze, sprzeczne myśli.

Usiadła przy stole w kuchni i wzięła na ręce Wielkiego.

- Lepiej nie ekscytować się za wcześnie - przemówiła do niego rozsądnie.

Kiedy odezwał się telefon, długo zwlekała, zanim podniosła słuchawkę. W głosie Johnny'ego słychać było zmęczenie. Nienawidził konferencji, podobnie jak papierkowej roboty.

- Wszystko w porządku? - zapytał, jakby wyczuł, że mnóstwo rzeczy jest nie w porządku.

Od czego zacząć?

Zaczęła od powtórzenia, co usłyszała od Zorzy. Johnny westchnął tylko ciężko, chyba nie miał już siły komentować zaostrzającego się konfliktu między siostrą i siostrzenicą.

- Mogłabyś poszukać informacji na temat college'u Salish-Kootenai? To w Mission Range, w Montanie, studiują tam głównie dzieciaki z rezerwatu Flathead. Spotkałem na konferencji faceta, który bardzo go poleca. Zorza miałaby szansę uwolnić się od Ester i rozwinąć skrzydła. Byłaby wystarczająco daleko od domu, a jednocześnie miałaby poczucie bezpieczeństwa, gdyby coś się nie udało.

Annie takie rozwiązanie wydało się rozsądnym kompromisem, miała jedna pewne obawy, jak zareaguje Ester.

- Myślę, że się zgodzi, kiedy usłyszy, że to nasz college. Wiesz, jak trudna jest dla matki rozłąka z dzieckiem. Dla rdzennych Amerykanek to jeszcze trudniejsze, biorąc pod uwagę nacisk na asymilację ze strony białych. Jeszcze nie tak dawno temu indiańskie dzieci były bite w szkołach za to, że mówiły w swoim języku. Traciły nie tylko imiona, traciły tożsamość. Trzymano je pod klu-

czem, głodzano, kiedy nie chciały rezygnować z obyczajów „dzikich czerwonoskórych”.

Ostatnie słowa niemal wypuł jak najgorszą obelgę. Wokół Annie zbierały się czarne chmury.

- W tradycji Indian dobra materialne nie mają znaczenia, to dzieci są największym skarbem.

Annie odruchowo położyła dłoń na brzuchu. Nie przyszło jej do głowy, że istnieją na świecie mężczyźni, którzy na wiadomość o dziecku niekoniecznie muszą brać nogi za pas. Czy to miałoby oznaczać małżeństwo? Szybko odegnała myśl, która pojawiła się nie wiadomo skąd.

Jak często ostrzegała przychodzące do niej po radę dziewczyny, żeby nie decydowały się na małżeństwo tylko i wyłącznie ze względu na dziecko. Pomijając już fakt, że statystyki rozwodowe akurat w takich przypadkach były przygnębiające, nie zamierzała z powodu ciąży ciągnąć Johnny'ego do ołtarza. Sama może wychować dziecko.

A jeśli Johnny ani nie ucieknie, ani nie padnie przed nią na kolana, tylko będzie chciał przejąć opiekę nad dzieckiem, wychować je w swojej kulturze?

„W tradycji Indian dzieci są największym skarbem”.

Zmroziła ją myśl o kolejnym procesie, walce o dziecko. Pod pierwszym lepszym pretekstem skończyła rozmowę, zanim Johnny mógł zapytać o powody jej dziwnego rozkojarzenia.

Oparła skołowaną głowę na rękach i zwróciła się do szczeniaków, które od momentu pojawienia się w domu traktowały ją jak matkę.

- Chłopaki, wygląda na to, że będziemy mieć dziecko.

Kiedy wypowiedziała te słowa na głos, od razu poczuła się lepiej. Wszystko jedno, czy był to skutek kompletnej głupoty, czy przeznaczenie, Annie zamierzała urodzić dziecko. I być najlepszą matką na świecie. Jej przyszłość rysowała się dość mgliście, ale jednego była absolutnie pewna: nikt nie odbierze jej maleństwa.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Kiedy rozmawiali przez telefon, Johnny już odniósł wrażenie, że Annie oddała się od niego, zamyka w skorupie, ale dopiero po powrocie do domu w pełni sobie uświadomił, jak bardzo się odsunęła.

Był zaskoczony, nie spodziewał się takiego obrotu spraw. Od pewnego czasu robił wszystko, żeby wygospodarować etat szkolnego terapeuty, a raczej terapeutki. Musiał jeszcze uzgodnić swoje plany z Annie, dowiedzieć się, czy jest gotowa przyjąć stałą posadę na czas nieokreślony. Po tym, co przeszła, wcale by się nie zdziwił, gdyby usłyszał, że raz na zawsze zerwała z zawodem.

Wracał z Denver z dobrymi wiadomościami. Przyznano mu kolejny grant, miał pieniądze na obsadzenie stanowiska terapeuty, nie mógł się doczekać, kiedy powie o tym Annie.

W Denver zatrzymywał się przed wystawami jubileów, wypatrując odpowiedniego pierścionka, oczyma duszy widział już dom, który wybuduje dla Annie nad brzegiem West River.

Był zakochany!

On, który ślubował sobie, że nigdy w życiu już nie

pokocha, teraz chciał, żeby wszyscy się dowiedzieli, jak bardzo, jak szaleńczo, nieprzytomnie, po same uszy jest zakochany. Miał ochotę wykrzyczeć to całemu światu pełnym głosem.

Może najpierw powinien jednak poinformować Annie o stanie swoich uczuć.

W drodze powrotnej wypróbował na Smokeyu, jak powinno to brzmieć. Pies przechylał łeb i nastawiał ucha.

Dopiero teraz Johnny rozumiał, że miłość do dziewczyny, która kiedyś złamała mu serce, była niczym więcej jak zwykłym zadurzeniem. Prawdę powiedziałwszy, dobrze, że go rzuciła. Strach pomyśleć, że byłby z nią związany do końca życia. Nie mógł uwierzyć, że z powodu jakiejś wietrznicy, pustogłowej trzpiotki chciał przekreślić miłość definitywnie i raz na zawsze.

Szczęście, że Wielki Manitu okazuje tyle miłosierdzia swoim dzieciom, nawet tym najgłupszym i najbardziej tępym.

Tak, Annie, która niczego od niego nie żądała, zasłużyła, by padł przed nią na kolana i wypowiedział te trzy najważniejsze, najśłodsze słowa.

Zaczął podśpiewywać piosenkę, która płynęła właśnie z radia. Nawet Smokeyowi udzielił się jego radosny nastrój i wybijał takt ogonem.

Zycie jest naprawdę piękne.

Ledwie zaparkował na podjeździe, wyczuł, że coś jest nie tak. Annie nie wybiegła mu na powitanie, jak to miała

w zwyczaju. I drugi znak, jeszcze bardziej złowieszczy: jego walizki w holu, spakowane, ustawione rzędem.

- Co, u diabła?

Mówiąc sobie, że nie powinien wyciągać pochopnych wniosków, szukał racjonalnego wyjaśnienia dla spakowanych walizek.

Może w domu była dezynsekcja i muszą spędzić noc gdzie indziej? Może toaleta się zatkała i Annie się zdenrowowała, że go nie ma, kiedy jest akurat potrzebny? Może Ester palnęła jakieś głupstwo?

A może Annie się w nim odkochała w czasie jego nieobecności?

Zastał ją w bawialni. Siedziała w wielkim fotelu, błada jak ściana, z rozmazanym makijażem, znak, że płakała.

W jednej sekundzie był przy niej, ujął jej dłonie.

- Co się stało?

Annie odwróciła wzrok, jakby się bała, że Johnny wyczyta w jej oczach całą prawdę.

Była u lekarza, potwierdził jej przypuszczenia: ciąża.

- Nic się nie stało - bąknęła i przygryzła wargę. - Tyle że to nie ma sensu. Od samego początku było jasne, że to przelotna znajomość, sam mówiłeś...

- A jeśli zmieniłem zdanie? - przerwał jej.

Zbił ją kompletnie z tropu. Takiej reakcji nie przewidywała. Johnny miał opinię człowieka, który z nikim się nie wiąże. Tymczasem... Gdyby był dał jej do zrozumienia, że tym razem jest inaczej, zanim wszystko się tak strasznie skomplikowało...

Teraz musiała myśleć o dziecku, nie mogła ryzykować. Johnny nie powinien za nic się dowiedzieć, że ona jest w ciąży. Nie zniosłaby walki o dziecko.

Tak samo nie zniosłaby upokorzeń związanych z dowodzeniem ojcostwa. Jedno i drugie ją przerażało.

I jeszcze jedna rzecz: nie chciała psuć Johnny'emu opinii. Gdyby nawet z nią został, gdyby stworzyli wspólny dom, co powiedziałyby jego siostra? Reszta rodziny? Pozostali mieszkańcy rezerwatu? Po co mu biała kobieta? W dodatku jego podwładna? Wystarczająco pokazny pakiet argumentów, nawet jeśli wzajemnie się wykluczających, żeby zerwać znajomość, rozstać się, odejść.

Czyż to nie szlachetna decyzja? Z gruntu altruistyczna?

- Może zmieniłeś zdanie, ja nie. Lato ma się ku końcowi, nasza przygoda też się skończyła.

- Nie mówisz poważnie! - huknął Johnny.

- Zupełnie poważnie - odparowała trochę zbyt szybko.

- A co byś powiedziała, gdybym zaproponował ci etat terapeutki w naszej szkole? Chciałbym, żebyś tu została.

Na twarzy Annie odmalowało się zaskoczenie.

- Jeśli uważasz, że cały etat to za dużo - ciągnął Johnny - mogłabyś pracować w mniejszym wymiarze godzin i nadal prowadzić kursy witrażownictwa albo zająć się pozyskiwaniem grantów dla szkoły. Chyba że w ogóle nie chcesz pracować i wystarczy ci rola mojej żony...

Spokojnie, napomniał się. Sam ostrzegał Annie na pow-wow, że trzeba działać rozważnie. Gotów ją jeszcze wystraszyć.

Zaczął miarowo chodzić po pokoju.

Może Annie spędziła z nim lato ze zwykłej litości? Może związała się z nim w ramach „badań międzykulturowych” i zdobyty materiał posłuży jej kiedyś do napisania rozprawy na ten temat? Może jej wyobrażenie o „ratowaniu Indian” nie uwzględniało małżeństwa z jednym z nich?

- Bardzo mi pochlebia twoja propozycja, ale mam już inne plany - powiedziała bez większego przekonania.

- Jakie mianowicie?

Na to pytanie Annie sama sobie nie potrafiła odpowiedzieć. Wiedziała tylko, że w rezerwacie zostać nie może. Johnny albo nie będzie chciał słyszeć o dziecku, albo będzie o nie walczył, albo, wreszcie, z poczucia odpowiedzialności zaproponuje jej małżeństwo. Każde wyjście było złe. Jedno gorsze od drugiego.

- Moje plany to moja sprawa - oznajmiła wyniośle.

- Inaczej mówiąc, chcesz się mnie pozbyć najszybciej jak to możliwe. To twój plan? Ja nigdy cię nie zraniłem. Ty mnie tak.

Johnny wybiegł z pokoju. Nie zatrzymał się w holu, żeby wziąć walizki. Chciała go zatrzymać, zawołać, nie potrafiła. Usłyszała jeszcze trzaśnięcie drzwi wejściowych i brzęk wypadającej szyby.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Ludzie omijali Johnny'ego z daleka, jakby rzeczywiście mieli do czynienia z groźnym niedźwiedziem samotnikiem, rozjuszonym, rannym grizzly.

Do tej pory zaglądał codziennie na zajęcia Annie, teraz jej unikał, w szkole i poza szkołą. Za kilka dni wygasał jej kontrakt. Wyjedzie, wróci do dawnego życia, zostawi uczniów, którzy ją podziwiali, i mężczyznę, który ją pokochał.

Jeszcze kilka dni i zapomni o istnieniu niejakiej Annie Wainwright.

Nie zapomni. Codziennie będzie mu przypominał o niej wspaniały witraż, który podarowała szkole. Będzie wspominał, jak się czerwieniła, kiedy się z nią droczył. Będzie słyszał jej śmiech. Będzie widział refleksy słońca tańczące w jej włosach...

Kolacja u Ester zapowiadała się ponuro. Johnny przyjął zaproszenie tylko dlatego, że chciał dać Zorzy list, który przyszedł z Montany. Ciekaw był, jak Ester przyjmie propozycję, by córka studiowała w indiańskim college'u.

O dziwo, Ester przyjęła to wyjątkowo dobrze. Omal

się nie popłakała, co u Ester było reakcją zgoła niebywałą. Powiedziała córce burkliwym tonem, że nie będzie stawiać na drodze jej marzeniom, a w razie gdyby studia ją rozczarowały z jakiegoś powodu, ma schować dumę do kieszeni i wracać do domu, który zawsze będzie na nią czekał. I odesłała Zorzę do jej pokoju.

- Jestem z ciebie dumny - odezwał się Johnny, kiedy siostrzenica zniknęła, a milczał uparcie przez cały posiłek. - Wiem, jakie to musiało być dla ciebie trudne.

- Prawie tak trudne, jak to, co mam ci do powiedzenia. - Ester wytarła dłonie w fartuch i spojrzała na brata koso. - Dobrze wiesz, że nie popieram mieszanych małżeństw. Dzieci z takich małżeństw są nieszczęśliwe, nigdzie nie mogą znaleźć sobie miejsca, ani w naszym świecie, ani w świecie białych. Zawsze będą bękartami, ale skoro już mam być ciotką, możesz na mnie liczyć. Pomogę wychowywać moje bratanice i bratanków, tak jak ty pomagałeś mi wychowywać moje dzieci.

Johnny patrzył na siostrę jak na wariatkę.

- O czym ty mówisz?

- To, że nie miałam dla twojej kobiety aż do dziś dobrego słowa, nie znaczy, że...

- Nie chcę tego słuchać: - Johnny podniósł rękę do góry, ale Ester nie dała się spacyfikować.

- Możesz sobie nie chcieć, a ja i tak powiem, co mam do powiedzenia. Wiedz, że moim zdaniem Annie to dobry człowiek. Co więcej, pasujecie do siebie. Wróciłeś z woj-ska całkiem odmieniony, myślałam, że już w tobie nie

ma żadnych uczuć, aż pojawiła się Annie. Dopiero przy niej odżyłeś, jakbyś się narodził na nowo. Nie ze wszystkim mi się podoba, że się zadałeś ze zwariowaną białą dziewczyną, ale masz moje błogosławieństwo.

Johnny nie wiedział, co powiedzieć. Wszystkiego mógł się spodziewać, ale nie tego, że usłyszy podobne słowa z ust siostry. Był wstrząśnięty, podobnie jak Zorza przed chwilą.

- Kiedy patrzę na was - ciągnęła Ester już łagodniejszym głosem - staje mi przed oczami mój George. Minęło dziesięć lat od jego śmierci, a ja ciągle nie mogę pogodzić się z tym, że odszedł. Jeśli choć w połowie kochasz Annie tak, jak ja kochałam jego, będziesz skończonym idiotą, jeśli pozwolisz jej odejść.

- Gdybyś nie wiedziała, to pragnę cię uświadomić, że to Annie zerwała, nie ja - sarknął Johnny, wściekły, że siostrze wszystko wydaje się takie łatwe. Jak niby miał połączyć związek nie do naprawienia? - Wyrzuciła mnie za drzwi, nie próbując nawet wyjaśnić dlaczego.

- I co z tego? Kobiety, kiedy są w ciąży, robią różne dziwne rzeczy.

- Skąd ci... w ciąży? - Absurd. Przecież zawsze uważałam... Z wyjątkiem jednej nocy...

Ester parsknęła śmiechem na widok jego miny.

- Kobiety wiedzą takie rzeczy, braciszku. - Tu po kiwała z politowaniem głową. Mężczyźni potrafią być wyjątkowo tępi.

- Jesteś wyjątkowo spostrzegawcza - zauważył John-

ny cierpko. - Czy jesteś tą samą kobietą, która nigdy nie potrafi dobrać własnym dzieciom skarpetek do pary?

- Śmieję się, jeśli chcesz, ale kiedy ostatnio pojechałam po Zorzę do szkoły i spotkałam Annie, intuicja od razu mi powiedziała, że za rok o tej porze będę już ciocią. Sugeruję, żebyś sam ją zapytał, zanim będzie za późno.

Johnny długą chwilę wpatrywał się z niedowierzaniem w twarz siostry, wreszcie oznajmił:

- Jesteś niezwykłą kobietą. - Pocałował ją w policzek i ruszył ku drzwiom.

Nie bardzo mógł się rozeznac w swoich uczuciach. Rozpierała go duma na myśl, że może zostać ojcem, cieşzyła odpowiedzialność, która na niego spadała. Nigdy w życiu nie przeżywał podobnych uniesień. Jednocześnie w głębi duszy wzbierał słuszny gniew. Czyżby Annie rzeczywiście zataiła przed nim tak ważną nowinę? Nie zamierzała mu powiedzieć, że jest w ciąży? Popełniłaby tak niewybaczalny grzech?

Może mu nie ufała? A może po prostu nie chciała wyjść za niego za mąż?

Zanim dojechał do domu Annie, zdążył się wprowadzić w stan zimnej furii.

Wyskoczył z samochodu i zaczął walić pięścią w już nadwerężone drzwi.

- Otwieraj albo wyjmę je z zawiasów! - wrzeszczał. Annie właśnie się pakowała.

- Idę! - zawołała z głębi domu, wiedząc, że nic nie powstrzyma Johnny'ego, kiedy uparł się ją widzieć.

Spojrzała na niego i przemknęło jej przez głowę, że powinna odwrócić się na pięcie i uciec. Minę miał taką, jakby za chwilę zamierzał roznieść dom Jewell na drobne drzazgi.

- Czego chcesz?

- Prawdy. - Chwycił ją za ramiona. Jeszcze moment, a zaczęłyby nią potrząsać. - Jesteś w ciąży?

Zapadło ciężkie milczenie. W obliczu wściekłości Johnny'ego, dręczona poczuciem winy, Annie nie próbowała go już dłużej oszukiwać.

- Skąd wiesz? - szepnęła.

Johnny'emu ręce opadły.

- A więc to prawda?

- Prawda. Ale nie martw się - dodała szybko. - Nie będę domagać się pomocy i nie chcę cię zranić. Nie powiedziałam ci, bo myślałam, że tak będzie lepiej dla ciebie. Miałybyś problemy, w końcu byłam twoją podwładną, a tak wyjadę i unikniesz nieprzyjemnych sytuacji. To, że jestem w ciąży, nie wpłynie w żaden sposób na twoje życie. Chyba że będziesz chciał widywać się z dzieckiem.

Zamiast ulgi, jak spodziewała się Annie, na twarzy Johnny'ego malowały się w tej chwili zupełnie odmienne uczucia. Rysy wykrzywiła mu wściekłość, oczy pały słusznym gniewem: został potraktowany jak zbędny mebel, incydentalna obecność w życiu własnego dziecka.

- Chyba że będę chciał? - powtórzył tonem ociekającym sarkazmem. - Dlaczego uważasz, że mógłbym nie chcieć?

- Przeszłe doświadczenia - poinformowała go Annie lakonicznie.

- Moje czy twoje?

- Moje. Twoje też. Nie dziw się, że tak postąpiłam. Mówią, że masz w rezerwacie sporo niechcianych dzieci. Jak myślisz, jak się mogę czuć, co mam myśleć, kiedy w sklepie podchodzi do mnie zupełnie obca kobieta i przedstawia mi twojego synka?

- Skarbie, nie wiem, kto to zrobił, ale ten ktoś chciał ci po prostu dokuczyć, sprawić przykrość. Komu wierzysz, Annie? Mnie czy obcej kobiecie? Myślisz, że jestem idiota, że nie myślę, że nie wiem, jak cierpią dzieci wychowywane w niepełnej rodzinie? Wiedz, że nigdy nie byłem ojcem i że to pierwsze moje dziecko, nasze dziecko. - Wściekłość dawno minęła i Johnny objął Annie. - Ty nie wiesz - mówił - co to znaczy wychowywać się bez ojca. Ja tego doświadczyłem na własnej skórze. Może być tylko jeden powód, dla którego ukryłaś przede mną prawdę. Wstydzisz się, że ze mną sypiałaś. Nie chcesz, żeby nasze dziecko wiedziało, kim jest jego ojciec.

Annie wciągnęła gwałtownie powietrze. Wiele argumentów brała pod uwagę, kiedy podejmowała decyzję, ale nikt nie mógł jej oskarżyć o taką hipokryzję.

- Bałam się powiedzieć ci prawdę. Kiedy ojciec mojego pierwszego dziecka dowiedział się o ciąży, zaczął wykrzykiwać, że to nie jego dziecko, że sypiałam z innymi, a jego chce zmusić do małżeństwa, zrujnować mu życie. Zszargał mi opinię, zrobił ze mnie najgorszą. Nie zniosłabym, gdyby

miało mnie znowu spotkać coś podobnego. Nie chciałam, żebyś myślał, że próbuję cię usidlić.

- Usidlić? - Johnny przerwał jej gwałtownie, choć obiecywał sobie, że będzie milczał, dopóki Annie nie skończy mówić. - Miłość to nie sidła. Miłość jest wołaniem. Jeśli człowiek ma szczęście, czasami usłyszy odpowiedź na swoje wołanie. Kocham cię, Annie. Powinienem był powiedzieć ci to wcześniej, ale sam dopiero niedawno uświadomiłem sobie, co naprawdę do ciebie czuję. I to nie z powodu dziecka. Ester powiedziała, że według niej musisz być w ciąży. A ja chciałem ci się oświadczyć tego wieczoru, kiedy wróciłem z Denver, ale zobaczyłem swoje walizki wystawione do holu i pomyślałem, że to nie najlepsza pora.

Annie wybuchnęła śmiechem, łzy popłynęły jej po policzkach. Johnny chwycił ją w ramiona i zaniósł na kanapę.

- Wybaczysz mi? - zapytała cicho.

- To zależy - odparł tajemniczo a potem przyklęknął. - Wyjdiesz za mnie? - zawiesił na moment głos.

- Zanim odpowiesz, coś ci wyjaśnię. Nie jestem facetem, który pozwoliłby się, jak to określiłaś, usidlić. Ty mnie uczyniłaś człowiekiem. Wypełniasz bez reszty moje serce. Na myśl, że zostanę ojcem, duma rozsadza mi pierś. Z radością i nadzieją patrzę w przyszłość.

Annie zanurzyła palce w jego włosach.

- A ja tak się bałam, że wyprzesz się naszego dziecka. Ciągle chcesz ożenić się z kobietą, która podejrzewała cię o coś takiego?

- Annie, kocham cię ze wszystkimi twoimi niedoskonałościami. Nie powinnaś uciekać od miłości ze strachu, że mogę popełnić te same błędy, które ktoś kiedyś wobec ciebie już popełnił. Miłość jest bezwarunkowa, nie zna strachu. Nie proszę cię, żebyś za mnie wyszła, dlatego że chcę dać naszemu dziecku pełną rodzinę, chcę się z tobą ożenić, bo cię bezgranicznie kocham. Uzupełniamy się, razem jesteśmy w stanie stworzyć z naszego życia arcydzieło. Zawsze będę przy tobie...

Łzy napłynęły Annie do oczu. Nie wiedziała, że jej wojownik jest także poetą. Czułe słowa Johnny'ego usunęły ostatnie obiekcje.

Czas spędzony w Wind River Mountains uzdrowił jej duszę.

Zniknęły wreszcie demony przeszłości, ale obydwójce wiedzieli, że w życiu czeka ich jeszcze wiele trudnych momentów.

Cóż jednak warto jest życie bez trudnych chwil?

Spotkali się po to, by dać swoim dzieciom miłość, która jest w stanie usuwać wszystkie bariery, która ma moc czynienia świata lepszym.

Ich ślub miał być połączeniem dwóch kultur i początkiem wspólnej drogi. Drogi, którą zamierzali przemierzyć w harmonii, krok po kroku.